Nr. 163. Lwów — Środa dnia 19 Lipca. Rok 1893.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie: Bez dostawy miesięcznie 75 ct. Z dostawą do domu 1 złr.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenumeraty na prowincyi

Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Dziś: św. Wincentego | Jutro: św. Czesława | Tomy Prep. Prokopija M. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 4 m. 25, Zachód „ 7 „ 43 | Długość dnia g. 15 m. 18, Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 18 lipca.

Z militarnej dziedziny mamy przed sobą kilka faktów, nad którymi warto się zastanowić bodaj pobieżnie. Najlepsze w Europie pismo wojskowe *Progrès militaire*, rozpatrując uchwalone w Niemczech powiększenie armii, zwraca uwagę na tę okoliczność, że we wszystkich państwach co roku ogromnie się zwiększa procent rekrutów, niezdolnych do służby pod karabinem. We Francyi, w stosunku do ludności, powinno być rok rocznie przeszło 300.000 popisowych, tyleż w Niemczech, a we Włoszech 150.000. W r. 1891 wybrano z tej liczby zdatnych do służby w pierwszym z tych państw 271.500, w drugiem 204.000, a w trzeciem 169.000. W roku zaś 1892 było już zdatnych we Francyi tylko 251.541, w Niemczech 184.452, a we Włoszech 128.000. Takie zmniejszanie się liczby rekrutów, odpowiadających wymaganiom coraz skromniejszym, jest stałe z roku na rok w całej Europie. *Progrès militaire* (organ oczywiście nie klerykalny!) tłomaczy ten objaw ogólnym w Europie upadkiem moralności, niezmiernie licznymi rozwodami, które zwiększają liczbę dzieci niemających rodziców, a więc żyjących byle jak, wreszcie tem, że lud wszędzie odżywia się coraz gorzej, kobiety, pracujące w fabrykach od lat bardzo młodych, nie są dość silnemi matkami, a ojcowie, spędzający połowę życia w szynkowniach, dzieciom oddają wszystkie nabyte organiczne wady. Co roku rodzi się we Francyi, średnio biorąc, 43.000 martwych niemowląt, co dowodzi, że zdrowie rodziców dobrem nie jest, a skoro tak, to i całe młode pokolenie składa się mniej więcej z cherlaków. Nie z żadnych etycznych względów, ale wprost z obawy, aby Francyi nie zabrakło rekrutów, domaga się *Progrès militaire* takich reform społecznych, które są politycznym programem katolików, więc utrudnienia rozwodów, usunięcia z fabryk kobiet i dzieci, święcenia niedzieli i dni świątecznych, aby odpoczynek dla ciała i ducha był jak najczęstszy, wreszcie szkół takich, któreby nie męczyły dziecinne głowy formułkami naukowemi, za to lepiej kształciły charaktery. Być może, że czego daremnie dopominają się katolicy i uzyskać nie mogą jedynie dlatego, iż są obrońcami reguł życiowych, ustanowionych przez Kościół, tego dobiją się militaryści, przemawiający w interesie wojskowem. Niechby choć tym sposobem zwyciężyła dobra sprawa!

Kiedy tak karleją ludzie, będący zawsze głównym materyałem wojskowym, olbrzymieją środki niszczenia. Na wystawie chicagoskiej najwięcej podziw budzi oddział wyrobów militarnych, a między nimi specyalna wystawa Kruppa. Ten niemiecki fabrykant morderczych narzędzi wsławił się już na filadelfijskiej wystawie w r. 1876. Wówczas to urzędowy sprawozdawca rządu Stanów Zjednoczonych profesor Reuleaux napisał o nim: „Siedm ósmych obszaru niemieckiej wystawy zajmują kolosalne „killing machines“ (machiny do mordów) Kruppa, które tam wśród różnych pokojowych wyrobów wyrażają jakąś groźbę. Czyżby one były wyrazem polityki nowoczesnej Niemiec?“ Ta notatka zraziła Kruppa i odtąd już on się nie pokazywał na żadnej wystawie. Nie miał ochoty do udziału i w chicagoskiej, ale na wyraźne i bardzo usilne naleganie rządu niemieckiego zdecydował się w końcu urządzić taką wystawę armat, jakiej jeszcze świat nie widział. Dla „honoru imienia niemieckiego“ poniósł Krupp ofiary ogromne, bo samo przewiezienie kolosalnych machin do zabijania ludzi kosztowało go 300 tysięcy funtów szterlingów, czyli 3½ miliona zł. Ale też zaćmił wszystkich współzawodników.

Z wydanego szczegółowo katalogu jego wystawy bierzemy parę najokazalszych machin.

Pierwsze miejsce zajmuje armata 42 cm. kalibru, do obrony brzegów. Jestto jedna z najpotężniejszych armat w świecie, zdolna rozbić najgrubszy pancerz okrętowy na znaczną odległość. Rura działa jest długa na 14 metrów, waży 122.400 klgr. Laweta waży 68.000 klgr., czyli 1360 cent. m. Pociski rzuca to działo następne: granaty płonące z żelaza lanego i ze stali, pancerzowe granaty i szrapnele ze stali, wagi po 1000 i po 1140 klgr. Stalowy granat płonący nabity jest prochem w ilości 54 do 64 klgr. Szrapnel ma w sobie 3000 do 3440 kul ołowianych ćwierćfuntowych. Nabój działa zużywa 410 klgr. prochu pryzmatycznego i daje pociskowi szybkość 604 m. O 2000 metrów pocisk przebija pancerz z żelaza kutego, gruby na 92 cent.

Drugie działo o kalibrze 29 cm., do obrony brzegów, osadzone na lawecie, pozwalającej mu dawać bardzo wysoką elewacyę, bo aż do 45 stopni. Pocisk wyrzucony pod tym kątem sięga na odległość 20 kilometrów, czyli blisko trzech mil naszych. W roku zeszłym 28 kwietnia w obecności cesarza Wilhelma II robiono na strzelnicy Kruppa w Meppen próby dalekonośności podobnego działa. Odległość wymierzono ściśle, pocisk padł o 20.22 kilometrów przy elewacyi 44 stopni, ważył 215 klg., ładunek prochu pryzmatycznego ważył 115 klg., początkowa szybkość wynosiła 640 m. Kiedy się przeciągnie linię powietrzną, jaką ów pocisk w 70 sekund przebiegł, a pod tą linią narysowano dla porównania górę Montblanc, mającą wysokości 4870 metrów. Otóż pocisk wzleciał w górę na 6.540 m., a zatem o 1.710 metrów wyżej, aniżeli szczyt najwyższej w Europie góry. Są to szczegóły tylko teoretyczną wartość mające, ale tak efektowne, że je każdy zrozumie i przedstawić sobie zdoła potęgę dzisiejszej artyleryi. I ona jednak jeszcze nie wyrzekła swego ostatniego słowa.

Dalej idą działa „cacka“, jak je nazwano: oblężnicze, pozycyjne, górskie, polowe, zgrabne i lekkie, tylko zabijające ludzi, a bijące na 10 kilometrów z siłą straszliwą. Ich pociski ważą po 4, najwięcej po 6½ kilo, a pękają na przeszło tysiąc części i oczywiście robią okropne spustoszenie w szyku nieprzyjacielskim. Osobny mechanizm, nie większy od kieszonkowego zegarka, a wśrubowany w granat, działa tak dokładnie, że pocisk z matematyczną ścisłością pęka tam, gdzie podług obliczeń strzelającego oficera pęknąć powinien. Każdy ułamek przebija na wylot kilka koni, postawionych obok siebie. Więc militarzysta może z dumą powiedzieć, że ta maszyna działa bardzo skutecznie. Gdy się pomyśli, ile pomysłowości, nauki, pracy wymagało zbudowanie takiej morderczej machiny, to aż serce się ściśnie, że żaden inny wynalazek, żaden pomysł, korzystniejszy i moralniejszy, nigdy nie bywał tak przez wszystkich chwytany w lot, naśladowany, przyswajany na gwałt, aby go jeszcze bardziej wydoskonalić, uczynić jeszcze śmiertelniejszym.

Czem bardziej ludzie fizycznie i duchowo karleją, tem straszniejsze gilotyny wymyślają na siebie. To ostatni wyraz naszej cywilizacyi.

A oto jeszcze mały przyczynek do tej cywilizacyi: statystyka zakładów Kruppa. W roku przeszłym pracowało tam 25,301 wszelkiego rodzaju robotników. Cyfra członków rodzin (licząc w to już dzieci w wieku szkolnym 16,588) wynosiła 60,290. Razem więc żyło w tych zakładach i z tych zakładów 85,591 osób różnej płci i wieku. Z tych 25,799 żyło w domach, będących własnością Kruppa, 15,392 w domach własnych, 46,980 w najętych mieszkaniach. Cała ta ludność mieściła się na obszarze, wynoszących 973 hektary, czyli prawie w dziesięciu kilometrach kwadr. Jeden z dzienników niemieckich z powodu tych cyfr robi uwagę, że ludność w państwie Kruppa jest prawie tak wielka, jak ludność udzielnego księstwa Schwarzburg-Rudolfstadt. Nie naznaczył tylko ów dziennik, że te 85,000 istot ludzkich zależy zupełnie od Kruppa, że on jest panem ich losu, może go poprawić, może go pogorszyć, usuwając ich z zakładu, że jest naprawdę panem ich wszechwładnym. Książe zaś Schwarzburg-Rudolfstadt, lub którybądź inny, zaledwie nad drobną garstką swych urzędników taką władzę posiada, oprócz tych zaś jego poddani, gdy o los ich chodzi, wcale się na niego nie oglądają i oglądać nie potrzebują i nie mogą. Sprawa tych kolosalnych zakładów przemysłowych jakiegobądź rodzaju, wytworzonych i prowadzonych przez wielkich kapitalistów, jest także olbrzymią kwestyą społecznie jeszcze ważniejszą, aniżeli zwiększający się ciągle kaliber armat i ich mordercza doniosłość.

KORESPONDENCYE.

Poznań 15 lipca.

[S.] Złożone w imieniu Koła polskiego przez ks. dr. Jażdżewskiego oświadczenie wywołało straszny gniew opozycyonistów tak naszych, jak zwłaszcza w szeregach tak nam ongi przychylnego centrum. Na trybunowie w pierwszej chwili oniemieli z podziwu, że nie kto inny, tylko właśnie największy z dotychczasowych przeciwników projektu w Kole wystąpił *coram mundo* w jego obronie, ale wnet przyszli do siebie i hejże na ks. dr. Jażdżewskiego, który wedle nich w ostatniej chwili „uległ woli ks. arcybiskupa Gnieźnieńskiego i zdradził sprawę publiczną“. Nie dziwimy się tym panom, bo istotnie cios był zbyt bolesny, by go spokojnie, bez extrawagancyi znieść mogli; trudniej daleko uniewinnić *Germanię* i cały chór gazet katolickich niemieckich, które zupełnie wypadły, jak się zdaje, z równowagi. Lżą polskich posłów i Polaków w ogóle w sposób, który absolutnie niczem usprawiedliwić się nie da. Wierzymy, że stronnictwo centrum odczuwać to musi bardzo boleśnie, iż zachowanie się Koła polskiego w sprawie projektu wojskowego pozbawiło je owego decydującego stanowiska, jakie zajmowało od pewnego czasu w parlamencie, ale czy godzi się zapominać, że Polacy mają tak samo jak stronnictwo centrum, najświętsze interesa, o których im zapominać nie wolno, i że tak samo jak centrum, wolno im w sprawach czysto politycznego znaczenia za pomocą odpowiedniej taktyki szukać najdogodniejszej pozycyi w obec rządu. Dziś *Germania, Köln. Volks Ztg., Westfäl. Merkur, Westpreussisch Volksblatt, Kath. Volks-Ztg.* (popularne wydanie *Germanii*) i *tutti quanti* występując z całą zaciekłością przeciwko Kołu polskiemu i przeciwko Polakom, nie przebierając w wyrażeniach, lecz wypisując takie komplementa jak „Beispiellose Charakterlosigkeit“, „Verächtlicher Kuhhandel“, składają dowód, jak szczera była przyjaźń katolików niemieckich, kiedy w zwartym szeregu popieraliśmy ich usiłowania polityczne. Prasa centrum nie może widocznie pohamować gniewu swego z tego powodu, że Polacy przez stanowisko, jakie zajęli w obec ustawy wojskowej, poprostu pozbawili centrum wszelkiego znaczenia w parlamencie. Do czego zresztą zdolni są katolicy niemieccy, to pokazał katolicki *Westpreussisches Volksblatt*, który zarzucił wprost katolikom zachodnio-pruskim, że polonizują katolików niemieckich, a więc zrobił nam ten sam zarzut, którym ks. Bismark swego czasu motywował wyjątkowe ustawy na Polaków. Tak więc pozbyliśmy się przyjaźni katolików niemieckich i przekonaliśmy się, o ile na nich liczyć możemy, a to zapewnie nie będzie bez korzyści dla nas, boć zawsze najlepsze *clara pacta*.

Co do abstynencyi p. Czarlińskiego, który nie wziął udziału w głosowaniu, to wątpię, czy po takiem zerwaniu solidarności Koła p. Czarliński będzie mógł utrzymać się na zaszczytnem stanowisku prezesa Koła polskiego w sejmie pruskim.

Wywiązując się z danego przyrzeczenia podaję wam dzisiaj sprawozdanie z walnego zebrania Spółki budowlanej „Pomoc“, która sobie wzięła za zadanie utrwalić egzystencyę sceny polskiej w Poznaniu, której byt został w ostatnich latach mocno zachwiany wskutek nieudolnego prowadzenia jej przez niefachowego dyrektora, który takie ma wyobrażenie o sztuce dramatycznej, jak, z przeproszeniem, ślepy o kolorach. Sama Spółka powiada w tem sprawozdaniu, że zawiązała się głównie i jedynie w tym celu, aby przez wybudowanie domów, tak na gruncie nabytym przez nią przy ulicy Berlińskiej pod nr. 17, jak na gruncie przy tej samej ulicy pod nr. 18 położonym, a mającym się przez „Pomoc“ zadzierżawić od Spółki teatralnej, której tenże grunt jest własnością, przysporzyć dochodów scenie poznańskiej.

Koszta nakładowe na wybudowanie domu pod nr. 17 wynosiły m. 270.000. Na kamienicę tę, oszacowaną przez znawców sądowych na przeszło 390.000 m. została Spółce budowlanej „Pomoc“ udzielona niewypowiedzialna przez bank pożyczka hipoteczna w wysokości 210.000 m., od której Spółka płaci 4¼%, czyli rocznie 8925 m. Dom ten wydzierżawiła Spółka hotelišcie p. Kamieńskiemu na lat piętnaście za roczną dzierżawę 17.500. Ponieważ jednak p. K. przyjął na siebie pewne ciężary, które spoczywają na gospodarzu każdego domu, przeto przyjęło te ciężary unormowane rocznie na 1500 m. tak, że dochody netto z kamienicy pod nr. 17 wynoszą rocznie 16.000 m. Gdy zaś procent rocznej pożyczki wynosi 8925 m., podatek gruntowy, dochodowy i assekuracya nie przekroczą sumy 2000 m., przeto przypadnie na kapitał Spółki ulokowany na kamienicę w wysokości około 60.000 m. zysk wynoszący 5000 m., z której to kwoty przypadnie dla Spółki „Teatr Polski w ogrodzie Potockiego“ na subwencyę dla sceny mocą zawrzeć się mającego ze Spółką akcyjną kontraktu około 2500—3000 m. rocznie. — N. b. wielką zasługę około Spółki budowlanej położył p. radzca Gorgolewski, dzisiaj we Lwowie, nie tylko bowiem dostarczył Spółce bezpłatnie planów i rysunków do fasady, wykonanych w naturalnej wielkości, ale w przejeździe na wakacye do rodziny zatrzymał się tu u nas w Poznaniu dni kilka, aby dawać wskazówki i udzielać swej światłej rady przy stawianiu budowli.

Sprawa kosztów budowy domu pod nr. 18 tak się przedstawia: Grunt pod nr. 18 jest właśnie dwa razy tak obszerny, jak grunt pod nr. 17. Ostatni ma obszaru 11 arów, a grunt pod nr. 18 (własność Spółki teatralnej) obejmuje 22 arów. Całkowite koszta budowy można przyjąć w wysokości 325,871,92 m. Jakkolwiek na dom ten będzie można zaciągnąć pożyczkę w wysokości takiej, iżby ta pokryła wszystkie koszta budowy, to jednakże jest nadzieja, że społeczeństwo nasze złoży się jeszcze na tyle udziałów, iż wystarczy zaciągnięcie dalszej pożyczki w wysokości 168.000 m. tak, aby procenta opłacane od całkowitej pożyczki hipotecznej w wysokości 300.000 m. nie przekraczały sumy 12.750 m. Ponieważ należy się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spodziewać, że dochody z tej kamienicy wynosić będą co najmniej rocznie około 23.000 m. brutto, przeto zysk brutto w tejże będzie wynosił 10.000 m. Z zysku tego odejdzie na pokrycie podatków, kosztów administracyjnych i asekuracyi teatru (2.250 m.,) więc wydatków wynoszących około 5000 m., przeto pozostanie do podziału około 5000 m., z której również jak przy kamienicy pod Nr. 17 powinno przypaść Spółce akcyjnej na subwencyę dla sceny około 2.500 do 3000 m. „Nie wielka to rzecz — czytamy w sprawozdaniu „Pomocy“, którą osiągniemy, dając Spółce akcyjnej około 5 do 6000 m. subwencyi, obok ponoszenia ciężarów, wynoszących bądź co bądź około 4000 m., które dotychczas spoczywały na Spółce akcyjnej, ależ mniemamy, że społeczeństwo nasze nie ustanie w przystępowaniu do Towarzystwa „Pomocy“, przysporzy się dochodów i tym sposobem zapewni byt instytucyi narodowej, którą obok Towarzystwa „Pomocy naukowej“ i Czytelń ludowych zaliczyć należy do najdzielniejszych wyników oświaty narodowej.

Z wielkiem zajęciem śledziliśmy tutaj przebieg pierwszego katolickiego wiecu w Krakowie; mianowicie *Kuryer Poznański* podawał za pismami waszemi obszerne referaty, a teraz osobno podaje rezolucye wiecu i najważniejsze przemówienia *in extenso*. Wiec udał się świetnie i był szczęśliwą zapowiedzią tej samowiedzy katolickiego społeczeństwa, której brak mianowicie w społeczeństwie galicyjskiem tak dotkliwie dotychczas czuć się dawał. U nas w Księstwie walka kulturna wpłynęła pod tym względem bardzo dodatnio na społeczeństwo, które stanęło jak jeden mąż jawnie i głośno po stronie katolickiego sztandaru; garstka liberałów, których i u nas braknąć nie mogło, schowała liberalne pazurki, a dzisiaj już bardzo zręcznie udaje katolicyzm. W Galicyi dotąd, choć całość społeczeństwa jest na wskróś katolicka, ogólna cecha była raczej liberalna, katolicy stali jakby w cieniu, choć się do katolicyzmu przyznawały jawnie najznakomitsze i najwybitniejsze osobistości. Lękano się poprostu wystąpić na szerszą widownię z postulatami katolickimi, katolicyzm usiłowano zamknąć wyłącznie do Kościoła. Wiec katolicki w Krakowie—to pierwsza walna próba, próba bardzo szczęśliwa głośnego i jawnego przyznawania się do katolicyzmu, rozciągnięcia tego charakteru na wszystkie dziedziny życia społecznego, czyli jednem słowem przyjścia do swiadomości katolickiej społeczeństwa. My Wielkopolanie cieszymy się niewymownie z takiego obrotu sprawy, a radość nasza jest tem większą, że do tak ważnej zmiany pochop dał Wielkopolanin, znany zaszczytnie ks. prałat prof. dr. Chotkowski, który przyprowadzeniem do skutku tego wielkiego dzieła wystawił sobie *monumentum aere perennius*. Ile tam trzeba było trudu i zachodów, ten tylko wie, kto się przypatrzył bliżej przeprowadzeniu takiej myśli: a pojąć łatwo, że w Krakowie, gdzie trzeba było dopiero zwalczać setne uprzedzenia, sprawa przedstawiała o wiele więcej trudności. Okoliczności tak się złożyły, że niepodobna było mi wziąć osobistego udziału w wiecu krakowskim, choć miałem najlepsze chęci; z tego, co czytałem, widzę, że ks. prałat Chotkowski, pomimo, że wszystko przygotował i w wiecu wybitne zajął miejsce, zanadto naprzód się nie wysuwał i zasług swych nie uwydatniał. Sądzę, że skromności jego nie obrażę, dając na tem miejscu folgę moim uczuciom i oddając każdemu, co jego.

Wczoraj zaczęły się u nas wakacye szkolne. Cała masa dziatwy opuściła mury Poznania, a z młodszymi wyjechało też i wiele osób starszych. Poznań opustoszał ogromnie.

Wiedeń 16 lipca.

(i.) W najbardziej arystokratycznej dzielnicy Wiednia, na rogu Herrengasse i Strauchgasse, znajduje się wspaniała kawiarnia, t. z. „Café central“. Od rana do późnej nocy gwarno w niej jak w ulu, i jak w kalejdoskopie zmienia się niemal co godzinę jej scenerya. Raniutko, ledwie słońce zaświeci, już pełno w niej ludzi, wyrywających sobie dzienniki i pragnących się dowiedzieć, co też stało się w świecie nowego od wczoraj. Ta partya zawodowych czytelników gazet oblęga stoły aż do południa, dopóki jej nie wypłoszą pierwsi gracze w bilar, którzy swemi tryplami, kwartami, cofańcami i klapsztosami piekielny hałas sprawiają. Potem drzwi już nie zamykają się aż do wieczora; ten śpieszy do stołu pod oknem z plikiem gazet pod pachą i popija swą czarną kawę, przy stoliku w kącie zasiadło czterech emerytów grać swego ulubionego taroczka, przy bufecie mizdrzy się bursz w kołpaczku i z plastrem angielskim na czole do nadobnej kasyerki, opodal dwaj szachiści podparłszy brody dumają, a rój ciekawych otacza ich ze wszech stron, dalej młodzian jakiś dopadłszy wolnego stołu pisze list, a kieliszek madery stoi obok nietknięty, w salonach na prawo tłumy pań spożywają lody i inne chłodniki i wertują pisma illustrowane — i tak trwa aż do północy. O szóstej rano ta sama historya rozpoczyna się *da capo*. Politycy są już przy stołach. I ja należę do tych rannych gości i temu zawdzięczam ciekawe odkrycie. Politycy z kawiarni centralnej, przebywający w niej między godziną ósmą a dziesiątą rano, dzielą się na dwie partye: zwolenników *Nowej Pressy*, ludzi, którzy o dziesiątej już śpieszą na giełdę, i przeciwników tego pisma.

Dla pierwszych wszystko, co *Nowa Presse* napisze, jest wyrocznią, drudzy widzą w tem wszystkiem, co w *Nowej Pressie* wyczytają, jakiś szwindel. Od kilkunastu dni toczy się między tymi dwoma obozami zażarta walka, a to z następującego powodu: Gdy z końcem czerwca rząd indyjski zamknął mennice dla wybijania monet srebrnych, przeciwnicy *Nowej Pressy* toczyli długie polemiki na ten temat, że to zarządzenie zada bardzo dotkliwy cios naszej regulacyi waluty, gdyż wywoła drożyznę złota w całym świecie. Druga partya nie podzielała tego zdania, a utwierdziła ją w tem korespondencya z Londynu, wydrukowana w *Nowej Pressie*, a zawierająca jakoby interview jej korespondenta z byłym ministrem skarbu angielskim Goschenem, który uchodzi za pierwszorzędną powagę w kwestyach finansowych. W interviewie tym powiedzieć miał Goschen, że zamknięciu mennic indyjskich nie należy przypisywać takiego znaczenia, aby ono mogło wywołać jakieś perturbacye na rynku złota. Politycy giełdowi tryumfowali, ale nie długo, po kilku dniach bowiem przeciwnicy witają ich ironicznymi wykrzykami i pokazują im ostatni numer londyńskiego *Timesa*, który poczta dopiero co przyniosła.

Referat o odpoczynku i święceniu niedzieli

wypowiedziany na wiecu katolickim w Krakowie w sekcyi przemysłowo ekonomicznej dnia 5 lipca.

(Dokończenie).

To ogólne ramy obrazu, a ileż jeszcze w tem obrazie innych dziur, dziurek, dziureczek! Bez przesady tyle, że ostatecznie i praktycznie rzeczy biorąc, cały obraz spoczynku niedzielnego przechodzi do rzędu niepochwytnych mytów. Przejść się tylko trzeba po placach, ulicach większych miast, po uliczkach i targowiskach mniejszych, aby się przekonać, co sądzić o całym tym spoczynku. W jednych fabrykach robota wre, bo pracy w nich przerwać nie można; w innych możnaby, ale trzeba maszyny czyścić, w warsztatach szyją, krają, mniejsza o to: sukno, czy skórę. W tym sklepie materyały spożywcze, obok restauracya, dalej piwiarnia, winiarnia, jeszcze dalej cukiernia i piekarnia, dalej żyd przemyślny wystawił w oknie słój z cukierkami i pod osłoną owego słoju spokojnie sprzedaje płótna i perkale; biedni listonosze z listami śpieszą, i to dwa razy większą mają robotę, bo żydzi w poprzednią sobotę odmówili przyjęcia listów i paczek, urzędnicy do biur pędzą. I domyśl się, że to niedziela; szukaj z latarnią niedzielnego odpoczynku!

Czy to po ludzku i po Bożemu dobrze? Pytałem i rozpytywałem wielu ludzi wszelkich stanów i zajęć i wyliczyć trudno, ile gorzkich żalów i skarg o uszy mi się obiło; ile razy posłyszałem twarde pytanie: „Jak Bóg ma nam błogosławić, kiedy my od żydów gorsi, co swe święta szanują; kiedy mając czas na wszystko, żałujemy Bogu tego dnia, który On dla siebie wybrał“. W innych zwrotach i słowach, ale w treści tę samą skargę powtarzał i majster i terminator, kupiec i subjekt, adwokat i stróż kamieniczny, można pani i uboga szwaczka. Powtarzali ją, z boleścią i zdziwieniem patrząc na to, co u nas się dzieje goście z Warszawy, z Wrocławia, z Poznania. Gorzka skarga i ciężkie oskarżenie; ale im cięższe, a niestety! im prawdziwsze, z tem większą energią i wytrwałością wziąć się należy koniecznie całemu naszemu chrześcijańskiemu społeczeństwu do naprawy bolesnych tych stosunków, podsycających socyalizm, niszczących kraj duchowo i materyalnie, niosących za sobą niebłogosławieństwo Boże.

Wytrwałość ta i energia tem niezbędniejsze, że kilka z dotychczasowych pięknych i szlachetnych usiłowań podjętych w tym kierunku natrafiło na nieprzebyte przeszkody. Trzysta tysięcy podpisów z samej Galicyi i sąsiednich prowincyi domagających się lepszego zachowywania trzeciego przykazania, utonęły bez śladu w wiedeńskich archiwach; założone w Krakowie przez zacną i znaną panią „Stowarzyszenie święcenia niedziel i świąt uroczystych“, rozpłynęło się i cicho znikło, jak znikło podobne Stowarzyszenie zawiązane niegdyś we Lwowie. — We Lwowie nowe Stowarzyszenie znów przed kilku miesiącami powstało; w Krakowie „Bractwo Królowej Korony Polskiej“ urządziło dla terminatorów Mszę św. w niedzielę i święta. Piękne to początki, lecz powiedzić to sobie trzeba — dopiero początki; mogą i powinny być one zachętą do dalszej akcyi, lecz poprzestać na nich nie wolno i nie można.

A jak akcyę tę rozwinąć, do czego zdążać? Przedewszystkiem do zmienienia ustawy państwowej, z której dziś nikt — u nas w Galicyi z pewnością, a podobno i w innych prowincyach austryackiej nie jest zadowolony, chyba żyd, co sobotę świętował. Dopiero przez zmianę ustawy, złe wydarteby było z korzeniem, bo nie zależałoby już wtedy od dobrej woli, od łaski i niełaski indywiduów, czy zechcą trzecie przykazanie sami uszanować i dozwolą je uszanować rodzinie i domownikom. A jeżeli może w Radzie państwa nie ma na razie wielkich widoków, aby prawdziwie chrześcijańska ustawa przejść mogła, czyż nie możnaby poruczyć tej sprawy na Sejmie lwowskim, jak przed paru latami poruszono ją na Sejmach vorarlberskim i niższo-austryackim, czy nie mógłby Sejm wydać bądź osobnej ustawy dla Galicyi o święceniu niedzieli, podobnie jak wydał ustawę o lichwie, ścieśniającą w Galicyi powszechne prawo; bądź przynajmniej wziąć w tej sprawie poważnej inicyatywy dla całej monarchii? Bo choć dalecy jesteśmy od oczekiwania wszelkich reform społecznych od ustawodawstwa, jednakowoż ta sprawa święcenia niedzieli ma tę właściwość, ze jakkolwiek ogromna większość tego pragnie, przecież mała liczba opornych przy istniejącej dziś konkurencyi może bardzo utrudzić najszczersze wysiłki i życzenia większości. Najłatwiej i najskuteczniej może ustawa państwowa tym potrzebom i życzeniom zadość uczynić.

Tymczasem — nim słońce wejdzie, nie wolno oczywiście z założonemi rękami czekać, czy i co Rada państwa i Sejm zrobić będą mogły i zechcą. Przecież np. przeniesienie szkoły dla terminatorów na godziny popołudniowe zależy nie od Wiednia, nie od Lwowa nawet, ale od krakowskiej Rady miejskiej. Przecież zniesienie niedzielnej pracy po warsztatach, większe co najmniej ograniczenie po fabrykach, zupełne zamykanie sklepów niespożywczych, a wczesne —dajmy na to po staremu o 9, lub choćby o 10 zamykanie sklepów spożywczych — czemś niemożebnem nie jest, i z dobrą wolą kupujących i sprzedających dałoby się przeprowadzić. Tylko kto przeprowadzi, kto starać się będzie, kto kołatać we Lwowie, we Wiedniu? Gdyby istniał „Związek święcenia niedziel“, jak istnieje w Belgii, we Francyi, i pytania tego stawiaćby nie potrzeba. Ale jeżeli nie istnieje, dlaczegożby istnieć nie miał, tembardziej, że chodzi tu tylko o wskrzeszenie tego, co już było i co nawet świetnie rozwijać się poczęło. Dlatego przedłożyć sobie pozwalam do uchwalenia następne dwie rezolucye, które do pewnego stopnia wszystkie inne pożądane a możliwe w sobie streszczają:

1) Wiec uznaje, że dziś obowiązująca ustawa państwowa o spoczynku niedzielnym nie odpowiada wymaganiom religijnym i potrzebom społecznym naszego kraju i że dążyć należy do jej zmienienia, a ewentualnie do uzyskania osobnej stawy dla naszego kraju.

2) Wiec wzywa wszystkich obywateli, którym stan religijny i społeczny naszego kraju leży na sercu, żeby przykładem i wpływami wszelkiego rodzaju przeprowadzili chrześcijańskie święcenie niedzieli, i nawołuje do bezwłocznego zawiązania w tym celu odpowiedniego Stowarzyszenia.

Ks. Jan Badeni.

W numerze tym w rubryce „Nadesłane" wydrukowano ogromnemi czcionkami oświadczenie, w którem mr. Goschen zapewnia, że nigdy w życiu nie widział korespondenta *Nowej Pressy*, ani z nim nie rozmawiał.

„Jak to być może?" zawołali giełdowcy. „Czekajcie, jutro *Nowa Presse* to wyjaśni; ona ma z pewnością racyę." — Czekano jeden, dwa, trzy i cztery dni, a *Nowa Presse* ani słówka o całej sprawie nie napisała, tak jakby jej to nic nie obchodziło. Dopiero wczorajszy numer *Timesa* wyjaśnił cokolwiek rzecz, ale w sposób, który zwiększa jeszcze kompromitacyę liberalnego *Weltblattu* wiedeńskiego.

Na tem samem miejscu, na którem p. Goschen umieścił swą deklaracyę, wydrukowano wyjaśnienie londyńskiego korespondenta *Nowej Pressy* następującej treści: „Pozwolisz, Panie Redaktorze, iż wyjaśnię całą tę przykrą sprawę; byłbym to zaraz naszajutrz uczynił, ale musiałem czekać na telegramy. Owoż sprawa ma się tak: Wysłałem do redakcyi *Nowej Pressy* w ową sobotę kilka depesz, zawierających rezultaty rozmaitych rozmów, które miałem. W jednej z tych depesz doniosłem, że lada chwili oczekuję listu od p. Goschena, do którego udałem się z prośbą o poświęcenie mi chwilki na rozmowę. Prawdopodobnie redakcya źle zrozumiała moją depeszę i ztąd całe nieporozumienie, nad którem wielce boleję. Zdaje mi się jednak, że wobec reputacyi, jaką się cieszy *Nowa Presse*, nikt nie posądzi ani jej, ani jej korespondenta o jakiekolwiek złe zamiary."

Wyjaśnienie to dało przeciwnikom obozu *Nowej Pressy* powód do nowych szyderstw, tak iż zwolennicy jej zamierzają przenieść się do innej kawiarni na ranne pogawędki.

Epizod ten podaję wam, choćby dla tego tylko, że ilustruje on dosadnie prawdomówność liberalnej prasy, która i o naszych stosunkach z reguły pisze z tą samą intencyą, jaką miał ów niebyły interview z p. Goschenem.

Trwoga przed cholerą zaczyna się już w Wiedniu objawiać. Władze przedsięwzięły zawczasu wszelkie środki ostrożności, a w sobotę rozpoczęły komisye sanitarne z polecenia Namiestnictwa zwiedzać domy w śródmieściu i po przedmieściach. Przy tej sposobności skonstatowano okropne stosunki, jakie panują między ubogą ludnością robotniczą. Mieszkania tych biedaków — to istne nory, ciasne, wilgotne [illegible]. Koło rogatki St. Marx wykryto na strychu zawalonego na wpół budynku przytułek [illegible], gdzie za opłatą 5 centów biedni ludzie sypiają. Czternastu biedaków dusiło się na powierzchni zaledwie kilku kwadratowych metrów. Niektórzy z nich nago spali na gołej podłodze. W drugiej kondygnacyi strychu, nie mającej żadnego okna, spało na jednej pryczy dziewięciu włóczęgów. Na przedmieściu Hernals natrafiono na lokal w suterenach, składający się z pokoju i kuchni. W lokalu tym znajdowało się 9 łóżek, na których spało 44 osób, nie licząc dzieci, które otulone w łachmany spały w cebrzykach, albo na gołej ziemi. W innem mieszkaniu, w piwnicy na Leopoldstadzie, dusiło się w jednej izbie 23 osób, a komisya, jaka tam przybyła, znalazła w kącie izby kilka żywych raków, spacerujących swobodnie. W innym domu spało w stajni oprócz 4 koni jeszcze 17 ludzi. Straszną rzeczywiście jest nędza, jaka tu panuje; to mieszkania tych biedaków są wiecznie ogniskami zaraźliwych chorób, a nie wiedzieć nawet jak złemu zaradzić, gdyż trudno wypędzić [illegible]. Podobno magistrat zamierza wybudować obszerne baraki i tam dać przytułek owym biedakom. Co jednak będzie w zimie, gdy mrozy pocisną?

List otwarty do Bismarka.

V.

Jakkolwiek ów traktat pokojowy zawarty bez wszelkiej przezorności politycznej, a zatem z gruntu chybiony, jest pierwotnem źródłem nieszczęścia, które Pan narobiłeś, to jednak byłoby niesprawiedliwością tylko na ten traktat zwalać winę za te przygniatające ciężary, które Pan zwaliłeś na barki nietylko Niemiec, ale także wszystkich innych państw europejskich. Nadzwyczajny ciężar podatku krwi i mienia, pod którym ugina się ludność tych państw i którego wprost już wytrzymać nie może, w ostatniej linii przypisać należy utrzymaniu zjednoczonych Niemiec, stworzonych przez Pana.

Gdyby nie to, że stoję już u schyłku życia, tak jak Pan, możebym się podjął żmudnej pracy dokładnego obliczenia z materyału, który mam do dyspozycyi, jakie sumy w pieniądzach i w straconej pracy produktywnej zapłacili ziomkowie pańscy dotychczas za zjednoczenie Niemiec. Ale pozostawiam takie statystyczno-buchhalteryczne zestawienie młodszym siłom; dla mnie, abym mógł sobie wyrobić jakie takie pojęcie o kosztach utrzymania zjednoczonych Niemiec, wystarczy wiedzieć, że te zjednoczone Niemcy w ciągu dwudziestu lat wydały tylko na same uzbrojenia dwanaście miliardów marek, t. j. 15 miliardów franków, nie licząc pięciu miliardów, zabranych Francuzom. A zatem ogółem wydały w ciągu dwudziestu lat na uzbrojenia dwadzieścia miliardów franków, to jest przeciętnie jeden miliard rocznie. Pobożny, cierpliwy, pracowity i wytrwały naród niemiecki ponosi te ofiary, a chociaż nieraz przychodzi mu to z uszczerbkiem chleba codziennego, jeszcze się nie skarży. Ponieważ jednak te ciężary skutkiem nieuniknionej konkurencyi z Francyą i Rosyą z każdym rokiem wzrastają, przeto mimowoli nasuwa się pytanie, czy też może już w najbliższym roku chłopski naród nic więcej nie da z siebie wycisnąć i jakie mogą być tego następstwa, gdy się to nie będzie mogło dać? Przecież niedawno, podczas debaty nad zaprowadzeniem dwuletniej służby w wojsku, pokazało się, że są w Prusiech całe prowincye, które przy najlepszych chęciach absolutnie nie są w stanie znieść żadnego więcej podwyższenia podatków. A zatem nie ulega wątpliwości, że możność narodu niemieckiego ponoszenia kosztów dalszych zbrojeń dosięga już dna, i że kwestya, skąd wziąć na koszta utrzymania państwa niemieckiego, stała się nietylko aktualną, ale nawet piekącą.

Ale nie tu koniec, gdyż do tego kłopotu przybyła się jeszcze inna okoliczność, która nie mniej ciężko waży na szali. Oto w przypuszczeniu, że sama siła zbrojna Niemiec, pomimo zakręcenia śruby podatkowej aż na ostatnie gwinty, nie wystarczy, aby w razie wojny ochronić od runięcia gmach państwowy, stworzony przez Pana, wciągnąłeś Pan w swego koła zaczarowanego jeszcze dwa inne państwa, przyczem liczyłeś na to, że i one powiększać będą swe siły zbrojne w tem tempie, jakiego wymaga konkurencya grożąca nie owym dwom państwom, ale Niemcom. I oto stało się co się stać musiało, czego Pan może nie przypuszczałeś: jedno z tych państw, kierując się swoją na doświadczeniach opartą i prawdziwie rozumną polityką, nie chce dotrzymywać Niemcom kroku, a drugie, odznaczające się więcej próżnością aniżeli rozumem, wyczerpane kompletnie dotychczasowemi zbrojeniami, nie może tego uczynić. Jeżeli to tak dalej pójdzie — cóż będzie wtedy?

Nad kwestyą tą trzeba się zastanowić także z innego, wyższego punktu widzenia. Aliansów nie zawiera się na wieczne czasy, a trwałość ich, o tem wie przecież cały świat, choć się tego głośno nie mówi, zależy nie od spisanego dokumentu, ale od podstawy, na której je zbudowano. Owóż podstawa, na której zbudowano trójprzymierze, chociaż może w dniu jego zawarcia wydawała się być granitową, i bardzo rozumną, obecnie nie przedstawia się tak solidnie.

Austrya, o ile mi się zdaje, utwierdza się coraz bardziej w przekonaniu, że do zabezpieczenia swojej egzystencyi i do utrzymania pokoju, nie potrzebuje koniecznie Niemiec. Przyjaźni przecież z Niemcami nigdy jej nie zaczepi, z Rosyą zaś, gdyby przyszło do ostateczności, mogłaby Austrya, dzięki obecnemu stanowi swej armii i niezawodnemu poparciu [illegible] w Rosyi [illegible] zresztą nie ma dziś w Europie mocarstwa, któreby odważyło się rozpocząć wojnę, nie upewniwszy się z góry, co na to powie Austrya. Włochy, które jedynie ze strony Francyi mogłyby być zaczepione, poczynają coraz bardziej żałować, że przed laty dały wmówić w siebie, że Francuzom może kiedyś przyjść na myśl drapać się ze swą armią po Alpach i zabrać kilka prowincyi, których im wcale nie potrzeba, albo może przywrócić świecką władzę Papieża. Gdy zatem z każdym rokiem coraz wyraźniej się pokazuje, że właściwym celem trójprzymierza jest zabezpieczenie egzystencyi zjednoczonych Niemiec, przeto byłoby niebezpieczną rzeczą, gdyby mąż, kierujący polityką Niemiec, oddawał się złudzeniu, że obaj sprzymierzeńcy po wieczne czasy będą domagali się ostatniego grosza od swych poddanych i przyśpieszać będą ekonomiczną ruinę swych krajów, na to tylko, aby mieć zaszczyt stania na straży u wrót co najmniej obojętnego im, pod pruskiem zwierzchnictwem stojącego, związku niemieckiego. Zawarcie trójprzymierza — był to kunsztyk dowcipnie pomyślany i sprytnie przeprowadzony, ale nie oparty na naturalnej podstawie, dlatego też wytrzyma on tylko dopóty, dopóki w ogóle w życiu państw kunsztyk utrzymać się może.

Z tego wszystkiego co powiedziałem wynika, że źle zahipotekowałeś Pan majątek, zdobyty dla swej ojczyzny. Koszta utrzymania tego majątku wynoszą bowiem znacznie więcej aniżeli jego dochody, co więcej, tylko sztucznie stworzonymi aliansami mógłbyś Pan w ogóle jeszcze ten majątek [illegible], a czyż w obec tego nie nasuwa się samo przez się pytanie: jak długo będzie go można jeszcze utrzymać? Nie potrzeba koniecznie być prorokiem, aby módz przewidzieć, że nie tak bardzo daleką jest chwila, w której stosunki, stworzone przez Pana, ulegną radykalnemu przewrotowi.

Oczywistą rzeczą jest także, że potrzeba będzie nadzwyczajnego natężenia fizycznych i moralnych sił, aby z tej tymczasowej budowli, którą Pan wzniosłeś swoją szorstką dłonią w pocie czoła, przyczem [illegible] więcej od Pana się pocili, zrobić nowy gmach, mający architektoniczną równowagę i normalne warunki życia. Każdy, kto patrzy na świat nie przez pryzmat średniowiecznych przesądów i nie kieruje się tak niskiemi uczuciami, jak nienawiść rasowa, będzie pragnął z całego serca, aby udało się wznieść żywotny, nieprzeładowany kosztami utrzymania, ale przeciwnie jeszcze zysk przynoszący, dla oka i dla duszy miły gmach zjednoczonych Niemiec. Jeżeli jednak powiedzie się wznieść taki gmach, pomyśl Pan tylko, w jakiem świetle ta wielka rachmistrzyni, która się zowie historya, przedstawi pańską olbrzymią lepiankę?

Oto jaki Pan bilans swoich wielkich dzieł? Oto jest: Grunt, [illegible] na kontynencie europejskim, zaorałeś Pan, nie posiawszy na nim ani jednego zdrowego ziarna, pogmatwałeś wszystkie międzynarodowe stosunki, rozdmuchałeś szkaradne namiętności, które pod wpływem postępu cywilizacyi już zamierać poczęły, zatamowałeś normalny postęp pracy ludzkiej i skierowałeś ją ku celom nieproduktywnym, miliardy sam utopiłeś w martwym materyale wojennym i drugich zmusiłeś, by to samo robili, włożyłeś na barki niemieckiego narodu i innych ludów trudny do zniesienia ciężar podatku krwi i mienia, stworzyłeś w całej Europie atmosferę duszną, krępującą wszelki polot ducha, stworzyłeś sytuacyę wprawdzie nową, ale tak nieznośną, że cały świat chwyta się za zbolałą pierś, jakby chciał tchu zaczerpnąć i wzdycha do wybawienia. I za taką to cenę, za tak nieludzką cenę, skleiłeś pan zaledwie materyał budowlany, który dziś tylko z wielkim wysiłkiem trzyma się kupy i z którego dopiero prawdziwy budowniczy będzie może mógł zrobić trwały i przyjemny dom mieszkalny. Temu budowniczemu, jeżeli się kiedy zjawi, wszystkie narody radośnie wołać będą „Hosanna", będą mu kwiaty słały pod nogi... One tego budowniczego, do którejkolwiek rasy będzie on należał, ofiarnemi rękami do nieba podniosą, bo to będzie wybawca, który uwolni je z piekła na ziemi, w które Pan je wtrąciłeś.

KRONIKA.

Lwów 18 lipca.

Mianowania. Minister handlu mianował asystentów pocztowych: Józefa Fortnera w Krakowie, Józefa Leszczyńskiego we Lwowie, Adama Młodzianowskiego i Karola Königa w Krakowie, Andrzeja Terecha we Lwowie, Aleksandra Schreibera w Brzeżanach, Władysława Nowosielskiego w Krakowie, Ignacego Siateckiego, Lucyana Dębickiego, Emiliana Nałęcz Jaweckiego, Zenona Weingartena i Jakóba Orlińskiego we Lwowie, Jana Grabowskiego w Złoczowie, Bronisława Brzezińskiego w Brodach, Grzegorza Chlebowskiego w Krakowie, Ignacego Jurkiewicza w Buczaczu, Antoniego Łonkiewicza i Franciszka Gregorica we Lwowie, a dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie przeznaczyła Ig. Jurkiewicza do Śniatyna, pozostawiając resztę w dotychczasowych miejscach służbowych.

Profesor gimnazyum tarnopolskiego Józef Zagrodzki mianowany został nauczycielem głównym w seminaryum naucz. w Tarnowie.

Konkursa. Wydział krajowy rozpisał konkurs na jedno stypendyum w kwocie 100 złr. z fundacyi Franciszka Steczkowskiego z Jasła, przeznaczonej dla uzdolnionych rzemieślników, którzyby chcieli kształcić się dalej w obranym zawodzie poza obrębem miasta Jasła. Pierwszeństwo mają rzemieślnicy urodzeni w Jaśle, a tylko w braku takich, stypendyum będzie mogło być nadane innemu kandydatowi. W tym roku Wydział krajowy postanowił nadać stypendyum uczniowi krajowego naukow. warsztatu szewskiego w Ubnowie. Podania należy wnieść do 10 sierpnia rb. — Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie ogłasza z terminem do 26 bm. konkurs na posadę pocztmistrza w urzędzie poczt. w Krakowcu, w pow. jaworowskim.

Ze sfer notaryalnych. P. Franciszek Wolski, notaryusz w Brzeżanach, przeniesiony został do Sokala, gdzie już rozpoczął urzędowanie. — P. Lucyan Marynowski, mianowany notaryuszem w Brzeżanach, rozpoczął urzędowanie.

Z Uniwersytetu. Stopień magistrów farmacyi otrzymali na Uniwersytecie lwowskim pp.: Białoskórski Zdzisław, Hausmann Julian, Bezucha Wacław ze Lwowa, Kallir Leon z Brodów, Kukaczka Włodzimierz z Przemyśla, Kohl Rudolf z Tarnopola, Grotowski Józef ze Starego Miasta, Koller Adolf ze Sanoka.

P. Leopold Wechsler, rodem z Kostrza w Galicyi, otrzymał stopień doktora wszech nauk lekarskich na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Ślub. Dnia 20go b. m. odbędzie się w kościele św. Anny we Lwowie ślub panny Zofii Wędrychowskiej, córki Eug. i Ludwiny z Komarnickich z p. Stan. Osbergerem.

Muzyka wojskowa 55 pp. grać będzie jutro w środę na Strzelnicy miejskiej. Początek produkcyi o godzinie pół do 7.

Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się we czwartek dnia 20go b. m. o godzinie szóstej wieczorem.

Rzadka uroczystość. Dnia 11 bm. w Błozwi górnej odbyła się rzadka uroczystość. Oto ks. Piotr Witoszyński, gr. kat. kanonik i dziekan w Błozwi, obchodził w tym dniu złote wesele, a zarazem święcił 50-letni jubileusz swego kapłaństwa. Imponującym był widok zgromadzonych z Błozwi i okolicy ziemian, szlachty i kmieci, jak niemniej licznej, bo około ze stu osób składającej się rodziny jubilata, święcących razem ze swoim pasterzem i ojcem rodziny dzień tak dla niego uroczysty.

Z izby sądowej. Nader interesująca rozprawa odbyła się wczoraj przed zwykłym trybunałem sądu krajowego lwowskiego. Przed kilku tygodniami przybył do Lwowa żyd czerniowiecki Markus Seidner z Ameryki. Gdy stanął w jednym z hoteli lwowskich, wnet rozeszła się między żydkami lwowskimi wieść, że on należał do „fabryki fałszywych pieniędzy" w Ameryce i przywiózł znaczny zapas tego towaru. Otóż bezzwłocznie zaczęli się do niego zgłaszać interesanci z chęcią zakupna owych fałszywych pieniędzy, zwłaszcza, że był interes znakomity do zrobienia, bo można było za 400 złr. kupić 1000 zł., i to takich, że nikt nie był w stanie poznać, iż są fałszywymi. Dla próby noszono te fałszywe pieniądze celem ich wymiany, a jednak nikt nawet nie zawahał się nad wymianą.

Wskutek tego zawarto więcej takich transakcyi, ale wszystkie miały tragiczny wynik, bo kupujący otrzymywali „towar" zapieczętowany w kopercie, w której prócz guldena na wierzchu i guldena na spodzie, a w środku papierów zapisanych, nic więcej nie było. Przypadek dopiero wykrył całą manipulacyę i zaprowadził Seidnera i jego zięcia przed kratki sądowe. Oskarżonych bronił dr. Z. Lisiewicz, oskarżał p. Gałkowski. Trybunał zasądził oskarżonych, z których Seidner przyznał się do winy, na 6-miesięczne więzienie.

W sprawie teatru krakowskiego. Konkurs na przedsiębiorstwo teatru krakowskiego w nowym gmachu miejskim rozpisany, budząc nadzieje, nie usuwa obaw. Im nadzieje większe tem przykrzejszym byłby zawód. Gmach piękny i wygodny nigdzie nie zapewnił ani bytu ani rozwoju sceny. Mówiąc pospolitym językiem — garnek nie wystarczy, trzeba włożyć do niego pożywną i smaczną strawę, umieć ją przyprawić i ugotować. — Będzie to zadaniem przyszłych przedsiębiorstw; przecież spełnienie jego nie od nich samych zawisło, ale także od środków rozporządzalnych i warunków, w których się znajdą. Czy będą miały co włożyć do garnka i przy czem go zagrzać?

Tymczasem życzyć sobie można, aby w nowym wspaniałym, wygodnym gmachu, sztuka w tej mierze i w tym stopniu zakwitła jak w starym, skromnym, szczupłym, niewygodnym a przy końcu tak bardzo brudnym. Gdyby w nowym garnku równie pożywną i smaczną strawę przyprawiano jak ta która pochodziła ze starego, którą karmiła się publiczność krakowska i która zasilała niejednokrotnie i inne sceny polskie: niezawodnie zadanie byłoby spełnionem należycie, a nowy gmach odpowiedziałby swojemu przeznaczeniu oraz wyrytemu na nim napisowi: *Kraków narodowej sztuce.*

Pragniemy tego szczerze dla Krakowa, pragniemy ze względów ogólnych, gdyż wiemy, że u nas rozwój jednej sceny oddziaływa na dobrobyt i postępy innych. Mniemamy, że słuszne, wolne od lokalnych namiętności osądzenie rzeczy, może się przyczynić do osiągnięcia pomyślnego skutku; że bezstronne, sprawiedliwe, nie koteryjne ocenienie przeszłości dopomódz może przyszłości, kiedy przeciwnie zaprzeczanie jej dobrych stron, pewien przeciw niej spisek, że tak powiemy, posłużyłby tylko do zamącenia pojęć. Dla tego wobec wyroków domorosłych, a jak się zdaje nie bezinteresownych krytyków, którzy, zresztą pierwsze a niepewne stawiając kroki nie wahają się rozmijać z prawdą, pragniemy stwierdzić, że do ostatniej chwili teatr krakowski w miarę możności i z uwzględnieniem okoliczności, spełniał swoje zadanie i wcale nie zasłużył na potępienie, którego przyczyn raczej w konkurencyi o nowe przedsiębiorstwo niż w istotnym stanie sceny lub przekonaniu o niej, odszukaćby można. Są nieprzyjaźnie, których źródłem przyjaźń.

Ustępujący dziś — z zamknięciem starego gmachu teatralnego ostatni jego dyrektor p. Glikson, starał się iść w ślady zasłużonych poprzedników, a akta Wydziału krajowego mogą zaświadczyć, iż ani nie zapominał obowiązków względem kraju i publiczności, ani nie rozminął się z zadaniem. Jak wszystkie dyrekcye, tak i jego, miała nieraz do walczenia z trudnościami i przeszkodami, ale p. Glikson nigdy rąk nie opuścił i nie zwątpił.

Głos publiczny mówi, że został wynagrodzony, bo nie tylko nie stracił, ale zyskał na przedsiębiorstwie. Teatr, który przeciętnie zyski przynosi, przeciętnie złym być nie może, a już całkiem przypuścić nie chcemy, aby publiczność krakowska tak mało była wykształconą i wybredną, aby wzbogacała i haracz niosła dyrektorowi złego i lichego teatru. Nie był on też ani złym, ani lichym; był czasem lepszym, czasem gorszym, — ale gdy był gorszym, to w skutku wyjątkowych, niezależnych od dyrektora okoliczności. Ubytek takiej siły jak pani Hoffmanowej, spowodowany przedłużającą się chorobą tej znakomitej artystki, był niezawodnie nie małą, a nie dającą się powetować szkodą. Nie mógł p. Glikson jej zaradzić, ale przecież, zręcznie zmieniając kierunek repertuaru, o ile się dało złe zmniejszył i całość teatru utrzymał, przekazując ją następcy. Nigdy nie zaniedbał nabytku rozporządzalnego talentu, a mylnem jest takie twierdzenie, aby nowych nie przysporzył sił; może nie pierwszorzędne, ale wcale dobre, już użyteczne a jeszcze obiecujące wytworzył, że wymienimy: panią Siennicką, pannę Trapszo, pana Śliwickiego

Nie małą zaletą dyrekcyi p. Gliksona była jej jednolitość. Wszelkie postronne wpływy usuniętymi były; nie było ani *kotylionowych*, ani aktorskich rządów — a życzymy, aby i w przyszłości teatr krakowski wolnym był od nich, wiemy bowiem, jak dalece są szkodliwymi. P. Glikson radził się ludzi kompetentnych, lecz sam zarządzał teatrem w jednej tylko myśli i celu, aby rzecz szła składnie i porządnie i korzystnie; to też za jego dyrekcyi był ład, porządek i korzyść.

Wiadomości dyecezyalne. Dyecezya tarnowska: X. Maciej Pająk, deficyent, proboszcz-jubilat, otrzymał odznakę kanon; X. Leon Łękawa instytuowany na probostwo w Łukowicy; X Tomasz Januś przeznaczony na wikarego do Łącka. Przeniesieni księża: Wiktor Kmielowicz z Padwi do Słopnic, Michał Leżoń do Chorzelowa, Wojciech Ścisło do Nedźwiedzi, Franciszek Słowiński z Chorzelowa do Czermina, Piotr Radwański z Czermina do Brzezin, Stanisław Golonka z Limanowej do Zakliczyna, Bartłomiej Łaś z Niedźwiedzi do Dębicy. X. Franciszek Irzyński instytuowany na probostwo w Iwkowej; X. Józef Boxa przeniesiony do Przyszowej, X. Tadeusz Nowina Sroczyński uwolniony od sprawowania obowiązków kapłańskich. Nowo wyświęceni księża przeznaczeni: Czapieński Ludwik do Zdżarca, Dulian Józef do Tuchowa, Józef Kondelewicz do Kolbuszowej, Józef Lasak do Dębna, Leon Miętus do Nockowy, Ignacy Poniewski do Cerakwi, Franciszek Staszałek do Jadownik, Jakób Takuski do Radłowa, Walenty Wcisło do Szczucina, Jan Wilczeński do Olesna, Wojciech Zabawiński do Gręboszowa, Wojciech Zarański do Limanowej. — Zmarli: ks. Antoni Antałkiewicz proboszcz w Podegrodziu w 77 roku życia a 53 kapłaństwa; ks. Ignacy Balon, deficyent w Ciężkowicach dnia 25 czerwca w 83 r. życia a 58 kapłaństwa.

Przykry wypadek spotkał wczoraj aeronautę p. Zenona Szymańskiego. Mianowicie podczas napełniania, balon pchnięty silnym podmuchem wiatru, przechylił się, skutkiem czego płomienie objęły płótno. Ogień spostrzeżono natychmiast i zdjęto balon z pieca, lecz dziura wypalona uniemożliwiła jazdę w powietrze. Na napełnienie drugiego balonu było już za późno. Na dzisiaj zapowiada p. Szymański powtórny wzlot, prosząc nas o zaznaczenie, że bilety kupione wczoraj służą i na dzisiaj.

W zakładzie dla ciemnych odbył się w sobotę doroczny popis w obecności dyrektora zakładu ks. Jerzego Czartoryskiego, posła dra Hoszarda, radzcy szkolnego B. Baranowskiego i licznej publiczności. P. Baranowski pytał wychowanków ze wszystkich przedmiotów, objętych planem nauki, a odpowiedzi jasne i dokładne świadczyły, iż wychowankowie wielkie korzyści odnoszą z wykładów swych nauczycieli. Kierownikiem zakładu jest p. Marek Makowski. Prace koszykarskie i ręczne kobiece wykonują uczniowie bardzo dobrze, z prawdziwym artyzmem. Gry na fortepianie, skrzypcach i organach, do której, jak wiadomo, nieszczęśliwi ociemniali mają wielki pociąg od urodzenia i która wskutek tego jest bardzo ważnym dla nich przedmiotem nauki, udzielał ze znakomitym skutkiem członek orkiestry teatralnej p. H Slawiczek. Uczniowie trudne utwory Dworzaka, Beriota i innych wykonywali z prawdziwem zrozumieniem rzeczy i widać było, iż p. Slawiczek potrafił w uczniach swych

---

33)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Obie były wyjątkowo piękne, ale w rażąco odmienny sposób.

Klotylda miała urok idealnych, dziewczęcych twarzyczek Greuse'a; panna Władysława przypominała posągowe, a namiętne w swej klasyczności Tycyanowskie typy.

Gospodyni domu i pani Talska siadły na kanapce, trochę dalej panna Władysława wgłębiła się w fotelik ze sztucznie znudzoną rezygnacyą przyjmując towarzystwo Tadeusza, który obok niski pufik zajął.

Rozmowa nie kleiła się. Pani Talska, myślała wciąż, do czego najzręczniej zaproszenie swoje przypiąć; a tymczasem zasypywała Klotyldę komplementami, trzymając się zasady, że te jeżeli nie pomogą to nigdy nie zaszkodzą. Usłyszawszy, że pani Dalenięcka czuje się nie zdrową wpadła w podziw:

Czy to być może? Wyglądając tak cudownie! Chociaż w istocie...

Przyjrzawszy się uważniej widzi, że te zachwycające fijołkowe oczy są lekko podkrążone... Ale to nic! To im dodaje tylko wdzięku.

I ta niedyspozycya to zapewne także nic poważnego? Trochę znużenia, a może zbytek szczęścia z przyjazdu syna?

Tu pani Talska złożyła dłonie z afektacyą.

— Ach! pani droga! To nie do uwierzenia, doprawdy nie do uwierzenia!

— Co takiego?

— Ten syn... Nie! Nie! to absurd! Nie żyjemy już w epoce cudów. To pasierb chyba kiedy mi pokazano tego młodzieńca u państwa Martwiczów roześmiałam się. Jak moją Władzię kocham, droga pani, gdybyśmy Cię tu tak dobrze nie znali, moglibyśmy Cię posądzić o jakąś brzydką intrygę. Cha! Cha! któż słyszał być tak nieprawdopodobnie młodą, mając tak dorosłego syna... Za granicą naprzykład nie mogłaby z nim pani podróżować inaczej jak tylko podając go za swego męża... Inaczej byłoby to kompromitujące, słowo daję, kompromitujące!

Klotylda uśmiechała się. Przesadzone zachwyty starej łowczyni zięciów bawiły ją.

— Ileż już lat liczy sobie na prawdę ten piękny amerykanin? pytała pani Talska uradowana, że jej się udało tak dowcipnie, według jej przekonania, zaznaczyć, że Tadeusz mógł by już być mężem, i to mężem niekoniecznie siedmnastoletniej panienki.

— Ma dwadzieścia dwa.

— W istocie wygląda przynajmniej na dwadzieścia sześć. Taka już zupełnie męzka powierzchowność... Zapewne umysł musi mieć nad wiek dojrzały... To się zawsze na wyglądzie odbija... Nic dziwnego; pod kierunkiem takiego ojca!

Ach! mój Boże! jak to nigdy zupełnego szczęścia na świecie niema...

Pani Talska zaczęła wzdychać, podnosząc swoim zwyczajem oczy w sufit.

Klotylda puszyła się nerwowo.

— Cóż porabia Ewunia? rzekła chcąc odwrócić rozmowę, a w tej samej chwili, oryginalnym zbiegiem okoliczności Tadeusz także zapytywał pannę Władysławę o kuzynkę.

Obie panie Talskie w odmienny sposób przyjęły te objawy zainteresowania się nieobecną. Matka poprzestała na krótkiej odpowiedzi, zaczynając zaraz mówić o czem innem, ale córka jakby jej jakaś myśl przeleciała przez głowę, uśmiechnęła się wdzięcznie i z nagłem ożywieniem zwróciła się do młodego Dalenieckiego.

— Moja siostrzyczka, Ewiątko, jak ją nazywam, została w domu. Jest w tej chwili zajęta szerzeniem oświaty. Ma lekcyę czytania z dwoma córeczkami naszego stróża.

Tadeusz mimowoli przysunął się ze swoim pufikiem.

— To ślicznie! — zawołał swoim impulsyjnym, prosto z serca płynącym głosem. — Nie wiedziałem, że nasze panienki umieją po za zabawą tak swój czas spożytkowywać! Czy i pani także bierze udział w tem pedagogicznem zajęciu?

— Ja, nie, — odparła Władysława, a jej pyszne, dramatyczne oczy stały się nagle tak figlarne, jak gdyby ukryty w nich jakiś chochlik złotemi iskierkami sypał. — Nie miałabym nigdy cierpliwości uczyć dzieci. Ewunia ma w tym kierunku talent, a co za tem idzie, upodobanie.

Uśmiechała się ciągle, przeobrażona zupełnie, tak, że Tadeusz poglądał na nią zdumiony i myślał znowu.

— Jaka to twarz sceniczna!

Tymczasem pani Talska bladła i czerwieniła się na przemiany.

Bawiąc Klotyldę, uchem łowiła rozmowę córki z Tadeuszem i gdy usłyszała pannę Władysławę wychwalającą Ewunię, a odmawiającą sobie pedagogicznych zdolności, które widocznie młody Dalenięcki bardzo cenił, wpadła w taką złość na tę ekscentryczną dziewczynę, która jej zawsze na przekór robiła, że byłaby ją uszczypnęła, gdyby tylko mogła.

Szczęściem los ulitował się nad nią i przerwał drażliwą rozmowę zsyłając nowego gościa.

Był nim trzydziestokilkoletni mężczyzna, wspaniałej postawy z twarzą Rafaela, jak ją trafnie określiła panna Talska, tylko takiego Rafaela, który byłby przynajmniej o dziesięć lat starszy i dziesięć razy jeszcze więcej zażyły niż nim był mistrz z Urbino wtedy, gdy swój znany obraz malował.

Szpecił go także i postarzał wyraz niesłychanej dumy i pewności siebie, który w każdym innym mniej bogato od natury uposażonym, mniej wykwintnym w ruchach, i mniej do najdrobniejszych szczegółów *correct* w ubiorze, byłby wprost śmieszną butą, w nim zaś prawie nie raził, choć i nie pociągał. Czuło się, że ten człowiek pomiata w duszy ludźmi, ale zarazem było w nim coś, co mimowoli budzi chęć ściągnięcia na siebie jego uwagi.

Uosabiał on ideał tych mężczyzn, o których marzą kobiety, żeby ich uczynić swymi niewolnikami.

Na jego widok panna Władysława spłonęła tak krwistym rumieńcem, że aż jej popielata woalka stała się różową. Klotylda przeciwnie, nie okazała żadnego wzruszenia, uniosła się nieco na kanapce i wyciągnęła do niego rękę swobodnym, przyjacielskim ruchem, ale ręka ta była jak lód zimna.

Nowo przybyły uścisnął ją lekko, schylając nisko głowę i było tyle rycerskiej galanteryi i uszanowania w tem drobnem poruszeniu, ileby ich kto inny w uroczystem pocałowaniu ręki z przyklęknięciem nie był umiał zamknąć.

Paniom Talskim ukłonił się tylko; z Tadeuszem angielskie shake hands zamienił.

Gdy panna Władysława oddawała mu ukłon, podniosła na niego oczy, przed chwilą jeszcze złotych iskier pełne, a teraz zupełnie matowe i przepaściście czarne, tą skoncentrowaną namiętną czarnością, jaką dyszą bezksiężycowe, ekwatorjalne noce i spuściła je natychmiast, blada już i jakby skamieniała.

Gość nie zauważył tego. Usiadł na przysuniętym mu przez Tadeusza foteliku, w równej odległości pomiędzy nią i Klotyldą i patrzył wprost przed siebie, w sposób, który zdawał się mówić:

— Jeżeli sądzicie, że ja rozpocznę rozmowę, to jesteście w błędzie.

Wyręczyła go pani Talska, wyjątkowo dziś podniecona.

— Rozmawiałyśmy właśnie z panią Klotyldą o tem, jak nasze towarzyskie życie jałowieje — rzekła.— Wiecznie to samo: W karnawale bale, w poście rauty. Należałoby je koniecznie urozmaicić, wprowadzić jakiś nowy żywioł. Naprzykład, w swoim czasie, jaki to był dobry pomysł Deotymy, to zamienienie swego salonu w jakiś niby dwór, na którym każdy z gości miał swój urząd, swoją rolę do spełnienia. Albo takie redagowanie pisanego tygodnika, któregoby wszyscy byli współpracownikami i odczytywanie tych utworów na zebraniach. To by bardzo ożywiało towarzystwa; nadało im jakiś ton, wyprowadziło na jaw wiele zdolności. Panie de Soligny Kierczyński, nie znajduje pan tego?

— Ja? łaskawa pani — odpowiedział zagadnięty. — Ja wchodzę już w tę epokę życia, w której zaczyna się gubić, a nie znajdować! Dla tego zostawiam następnemu pokoleniu trud wymyślania nowych sosów do tej zwietrzałej potrawy, która się towarzyskimi stosunkami nazywa. Co do mnie, jem ją z przyzwyczajenia, zatraciwszy już wszelkie poczucie jej smaku.

Mówił zwolna, głosem bogatym, ale stłumionym trochę i z oddźwiękiem tej samej lekceważącej pewności siebie, jaka się przebijała w jego obejściu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wzbudził szczere zamiłowanie do muzyki. Po popisie, który był wybitnym dowodem, iż lwowski zakład może się mierzyć pod każdym względem z zakładami zagranicznymi, przemówił do wychowanków ks. Czartoryski w ciepłych i serdecznych słowach. W roku ubiegłym pozostawało w zakładzie 18 chłopców i 14 dziewcząt; obecnie opuszcza go trzech chłopców. Zakład cały weźmie udział w przyszłorocznej wystawie krajowej.

Wystawa sztuk pięknych pozyskała w ostatnich dniach bardzo wiele interesujących nowości, a mianowicie: Bełtowskiego Juliana „Biust Dr. S.“; Bollera z Monachium „Dwa krajobrazy“; Bratkowskiego „Na wsi“; Dykasa „Biust profesora Cybulskiego“; Dębickiego „Dwa Studya“; Jaroszyńskiego [illegible]; Jordana „W parku“ i „Adjutant z 1831 roku“; Jasińskiego Emiliana „Krajobraz jesienny“; Łużana Kajetana „Portret pani K.“; Prudnika trzy pastele „Zwierzenie“ i „Dwa studya“ Rygiera „Medalion Mickiewicza“ oraz Wodzinowskiego „Dwa portrety“.

Portret arcyksięcia Leopolda Salwatora pędzla Jana Styki, oraz „Sen“ cykl rysunkowy Czesława Jankowskiego, pozostaną na wystawie tylko jeszcze kilka dni.

Zjazd pedagogów. Z Tarnopola piszą nam dnia 17 b. m.: Dziś rozpoczęło się u nas walne zebranie gal. Tow. pedagogicznego. Wczoraj po południu przybyli tu członkowie głównego zarządu ze Lwowa z prezesem ks. A. Czartoryskim na czele i około 200 uczestników. Na dworcu kolejowym przybyłych gości powitał imieniem miasta komisarz rządowy p. Studziński, a imieniem tarnopolskiego oddziału Towarzystwa pedagogicznego prezes tegoż p. Maszkowski. Prezes Towarzystwa ks. Jerzy Czartoryski podziękował imieniem za powitanie, a komitetowi za trudy, które położył, aby szczerze gości przyjąć i ich wygodnie pomieścić. O godzinie 4½ rozpoczęło się w sali magistrackiej zgromadzenie [illegible]. Przewodniczył p. Aleksander Pająk, sekretarzem był p. Rosół. O godzinie 6-tej udano się na koncert do sali „Sokola“.

Magistrat na przyjęcie gości pięknie udekorowany zielenią i festonami, oraz flagami o barwach krajowych.

Dziś po uroczystych nabożeństwach, odprawionych w kościele i cerkwi, odbyło się pierwsze posiedzenie walnego zebrania. Zebranych w sali w imieniu miasta powitał komisarz rządowy p. Studziński. Podniósł szczytne cele i działalność Towarzystwa pedagogicznego około oświaty i wychowania publicznego, oddał cześć pracownikom na tem polu i życzył, aby zebranie cele swe osiągnęło. Ma nadzieję, że to osiągnie, gdyż na czele Towarzystwa stoi mąż zacny i dobrze dla kraju zasłużony, ks. Jerzy Czartoryski. (Oklaski.)

Książę prezes podziękował za powitanie, a następnie w przemówieniu pełnem wzniosłych i zdrowych myśli podniósł konieczną potrzebę wciągnięcia do pracy nad wychowaniem narodowem jak najszerszych warstw społeczeństwa. Po sprawozdaniu zarządu głównego nastąpił referat profesora Zaleskiego z Krakowa: „O wychowaniu domowem i publicznem i o zadaniach Towarzystwa pedagogicznego w obec tej sprawy“. Odczyt ten wywołał żywą dyskusyę. Radca szkolny p. Bolesław Baranowski wygłosił odczyt o Teofilu Lenartowiczu. Profesor Rawer przedstawił wniosek zarządu dotyczący mianowania honorowych członków Towarzystwa. Wybrano nimi przez aklamacyę: ks. biskupa Łukasza Soleckiego, ks. kardynała Albina Dunajewskiego, inspektorów dra Zygmunta Samolewicza, Bolesława Baranowskiego, dyrektora i radzcę Ludwika Dziedzickiego i profesora Józefa Soleskiego.

Z Sanoka piszą: „Tu zachorował dnia 13 bm. robotnik wracający z Węgier do domu, do [illegible] w powiecie brzozowskim. Ponieważ objawy choroby budziły podejrzenie cholery, więc umieszczono chorego natychmiast w baraku izolacyjnym w tamtejszym szpitalu powszechnym. Mimo niezwłocznej pomocy chory po kilku godzinach umarł. Sekcya, wykonana przez lekarza powiatowego dra Władysława Cyżewicza i delegowanego przez namiestnictwo dr. Krokiewicza, stwierdziła bardzo ostry katar żołądka i kiszek (gastroenteritis acuta choleriformis). [illegible] w toku. Wszelkie środki ostrożności zaraz w pierwszej chwili zarządzono i wykonano.

Piorun Piszą nam: W Trzcianie pod Bochnią w odpust św. Małgorzaty, patronki tutejszej parafii, dnia 13 bm., podczas wotywnej mszy św. o kwadrans na dziesiątą rano uderzył piorun w sygnaturkę kościoła, zsunął się po dachu, bocznemi drzwiami przeleciał po nad samemi głowami ludzi przez środek kościoła, oświecając jaskrawym promieniem świątynię i [illegible] do kaplicy obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej ulotnił się, nie wyrządziwszy najmniejszej szkody.

Nawalnica gradowa. Dnia 13go b. m. wieczorem szalała w części powiatu brzeskiego i tarnowskiego nawalnica gradowa, jakiej ludzie najstarsi nie pamiętają. Grad wielkości kurzego jaja zniszczył doszczętnie urodzaje [illegible] nad Dunajcem położone. Szczególnie zaś dotknięte zostały [illegible] dolne, własność państwa [illegible] bar. Gostkowskich, Wróblowice pana Tabaczyńskiego i gminy: Zakliczyn, Kończyska, Łasiewice, Faściszowa, Wesołów i Janowice. [illegible] jest niezbędna, gdyż ludność tej okolicy, [illegible], nie zdoła się wyżywić do przyszłego roku.

Z Polski za Oceanem. Miasto Winona było w końcu zeszłego miesiąca widownią małej rewolucyi, której powodem był [illegible] na parafii kościele św. Stanisława. Z polecenia biskupa Cottera dotychczasowy wikary ks. Misicki miał być [illegible] gdzieindziej, a miejsce jego przeznaczono znanemu w Krakowie ks. Domagalskiemu, który w [illegible] w „Kropidle“, a później w „Dzienniku chicagoskim“ [illegible]. Ks. Misicki [illegible] parafian. To też gdy nadszedł dzień 19 z. m., a z nim wyjazd ks. Misickiego z Winony, tłum około 3 tysięcy osób [illegible] ks. Misickiego [illegible] tłumu.

Następnie przemówił ks. Misicki, wykazując konieczność swego wyjazdu, na co zebrani odpowiedzieli głośnym płaczem. [illegible] 22 czerwca [illegible], jak donosi „Zgoda“, około 4000 ludzi, [illegible] ks. Domagalskiego [illegible] o jedenastej rano koleją żelazną opuścił Winonę. Przez cały czas krótkiego jego pobytu w mieście straż przed kościołem pilnowała, żeby ks. Domagalskiego do świątyni nie wpuścić.

Bolesne te zajścia, które jednak wskazują, jak trudne jest położenie katolików Polaków w Ameryce: biskupi, obcy im narodowością, nie mogą dokładnie znać kapłanów, którym powierzają pieczę nad duszami, a ztąd powstają gorszące rozruchy. Z drugiej zaś strony los ks. Domagalskiego dowodzi, że agitatorstwo polityczne i propaganda nienawiści zamiast miłości wzajemnej, srodze się mści na kapłanach, który rozmijają się ze wzniosłem swem powołaniem.

Uwolnienie studentów ruskich, aresztowanych z powodu demonstracyi przeciwko X. Metropolicie Sembratowiczowi, nastąpiło po nadejściu protokolarnego przesłuchania księdza Metropolity Sembratowicza, który złożył pomyślne dla aresztowanych zeznanie i prosił o zaniechanie postępowania sądowego.

Z górnictwa. Egzamin w szkole wiertniczej w Wietrznie, pod Duklą, złożyli dnia 14 b. m.: Bochniewicz, Grużewski, Marynowski, Tymczakowski i Ulbrych. Na tym egzaminie byli obecni pp. Leonard Wiśniewski, [illegible] Syroczyński, delegat Wydziału krajowego, dr. Olszewski, delegat krajowego Towarzystwa naftowego, Z. Suszycki, dyrektor szkoły i S. Nowak, nauczyciel szkoły. Komisya egzaminacyjna proponuje, aby kurs nauki wiertniczej trwał co najmniej 8 miesięcy.

Husiatyn piszą nam 17 lipca. (–) Pożar zniszczył u nas do szczętu 129 domów mieszkalnych prócz zabudowań gospodarskich, cerkiew, synagogę, wszystkie składy, magazyny, sklepy i wszelkie zapasy żywności, tak, iż do 500 rodzin a przeszło 3.000 dusz izraelickich, przeważnie samych biedaków, pozostało dziś bez chleba i dachu.

Z inicyatywy tutejszego prezesa Rady powiatowej hr. Gołuchowskiego zawiązano natychmiast komitet ratunkowy, w którego skład weszli najwybitniejsi mieszkańcy miasta. Udał się on na razie do władz z prośbą o bezzwłoczną pomoc. Szkoda ogólna, o ile w przybliżeniu możnaby oznaczyć wynosi przeszło 600.000 zł. choć nie brak i takich, którzy podają znacznie wyższą sumę. Całe śródmieście, gmach starożytnego ratusza, przed parunset laty zbudowana bożnica, słowem wszystko padło pastwą rozszalałego żywiołu. Ani jednego domu ba nawet belka nie oszczędził orkan rozszalały, a miasto przedstawia dziś wały zgliszcza i gruzów. Dlatego wypada dziś stanowczo obmyśleć plan odbudowania miasta, a nawet odniesiono się, jak słyszę, do Wydziału krajowego z prośbą o wydelegowanie inżyniera celem sporządzenia planu regulacyjnego.

Z Lipowca w gubernii kijowskiej, donoszą do warszawskiego *Słowa* co następuje:

W tutejszym zjeździe sędziów pokoju osądzono przed paru dniami bardzo charakterystyczną sprawę karną. Na ławie oskarżonych zasiadło trzech żydów z Białej Cerkwi pod zarzutem „nadużywania imienia Jezusa Chrystusa przy wypraszaniu datków na pogorzelców“. Żydzi ci obchodzili różne wsie w pow. lipowieckim, przebrani za włościan, żegnali się, acz „bardzo niewprawnie“ i witali chłopków imieniem Chrystusa. Włościanie mieli ich za chrześcian. Złudzenie było zupełne; jedno tylko budziło podejrzenie, a mianowicie to, że psy rzucały się wszędzie na trzech podróżnych z niezwykłą zajadłością, z jaką dotąd tylko żydów atakowały. Niemniej jednak datki na mniemanych pogorzelców płynęły obficie, zwłaszcza w postaci wszelakiego ubrania i bielizny.

Oskarżeni przyznali się do winy, objaśniając, że udawali chrześcijan, aby tem łatwiej wyłudzać datki u włościan. Oszuści skazani zostali na kilkomiesięczne więzienie.

Ofiary. Od pana Z. Szymańskiego, aeronauty, otrzymaliśmy 1 złr. za zwrócony mu wczoraj przy wzlocie bilet, za który należytość przeznaczył łaskawy ofiarodawca dla ubogich. Guldena tego przesyła p. Szymański na schronisko brata Alberta.

Zmarli. Antoni Torosiewicz, urzędnik kolejowy, umarł w Czerniowcach, w 74 roku życia. — Kajetan Torosiewicz, były przedsiębiorca naftowy ze Słobody Rungurskiej, umarł w Czerniowcach, w 58 roku życia. — Ksiądz Bazyli Fortuna, greckokatolicki proboszcz, niegdyś poseł na Sejm krajowy, umarł w 76 roku życia. — Tomasz Czekaj, dzierżawca dóbr Bodzów, umarł w 63 r. życia.

Stan powietrza. Termometr + 13° Reaumura o godzinie 7 zrana, w południe + 15 stopni Reaum. Barometr 757. Nieruchomy. Zrana padał deszcz.

W ogrodzie.

— Jaśnie panie, jaśnie panie, może pan kupi bukiecik fijołków dla pani!

— Idź precz błaźnie, nie widzisz, że idę z żoną

Teatr. Dziś we wtorek w teatrze letnim: Po raz pierwszy: „Józefina sprzedana przez swe siostry“, operetka w 3 aktach P. Ferriera i F. Carre, z muzyką W. Rogera. — Jutro w teatrze letnim: „Dwór w Władkowicach“, komedya w 4-ch aktach Z. Przybylskiego. Gościnny występ p. Mieczysława Frenkla, artysty teatrów warszawskich.

Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt „Zakładu wychowawczego dla chłopców“ Władysława Axentowicza, który z dniem 1 sierpnia przeniesionym będzie z Kołomyi do Lwowa (ulica Jagiellońska).

Literatura i Sztuka.

* **P. Laskowski,** były tenor operetkowy w teatrze hr. Skarbka we Lwowie, zaangażowany został do teatru Małego w Warszawie.

* **Przeglądu emigracyjnego** nr. 14 wyszedł we Lwowie i zawiera:

Wychodźtwo polskie w Europie. — Kilka słów o konkursie literackim im. Mikołaja Kopernika. — Bogactwa kopalniane brazylijskiego stanu Parana, napisał Józef Siemiradzki. — Wiadomości naukowe z Paryża i z Francyi, napisał J. Malinowski. — Rozmaitości. — Dział informacyjny. — Ogłoszenia.

Rozmaitości.

— **Żywcem pogrzebany.** Jeżeli kto, to powracający z pod bram wieczności wiele opowiadać mogą o sobie i spostrzeżeniach, poczynionych w obliczu śmierci.

Oczywiście, najciekawszych szczegółów dostarczają ci nieszczęśliwi, a raczej szczęśliwi, którym wypadek przesunął widmo śmierci przed oczami, nie odbierając jednocześnie świadomości, a więc możności kontrolowania swoich wrażeń. Jakże często górnicy zasypywani bywają ziemią, zwykle jednak nie są w stanie zdawać sobie sprawy z położenia, a przebyte tortury pozostawiają w ich pamięci tylko mgliste wspomnienia. Tem ciekawsze są spostrzeżenia człowieka inteligentnego, świadomego swojego stanu i niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdował.

Człowiek ten, zasypany żywcem, jest amerykaninem, pochodzi z Chicago, a zowie się Moorchead. W roku 1888 opisujący swoje wrażenia grobowe doglądał, jako geolog, wykopalisk nad brzegami Ohio. Robotnicy pracowali na wzgórku i wykopali już ścianę na pięć metrów wysoką, gdy uczony nasz zbliżył się do podkopanego gruntu i przechylił się, aby obejrzeć kość przed chwilą wydobytą z ziemi.

W tej chwili część nasypu runęła i przysypała swoją ofiarę. Moorchead usłyszał jakiś łoskot nad sobą, czuł, że pada, chciał się podnieść, ale już nie mógł. Czuł, że bryły czarnej ziemi na niego spadają, powietrza brakło, otoczyła go ciemność...

Był zagrzebany.

Tu zaczynają się spostrzeżenia. Moorchead, przywalony ziemią, leżał bez ruchu. Głowa i ramiona spoczywały wyżej, niż nogi. Nie cierpiał, doznawał tylko wrażenia strasznego ucisku. Ciężar ziemi wgniatał mu w ciało guziki od ubrania, łańcuszek od zegarka, który zgniótł się całkowicie. Pogrzebanemu żywcem zdało się, iż ma czoło przecięte, tak mu się wbijał w czaszkę kapelusz słomkowy. Nóż, leżący w kieszeni, palił mu uda, jakby zarzewiem. Po chwili zjawił się ból krzyża dotkliwy, jakby kręgi pacierzowe połamane były w kilku miejscach.

Bolesne to uczucie trwało krótko: nastąpiło po chwili znieczulenie zupełne. Myślał, ale nieporządnie i gorączkowo: to myśl jakaś, jak błyskawica, przelatywała przez mózg, to znowu mgliste sunęły obrazy z przeszłości, kontury domu, rodziny. Ani razu nie pomyślał, iż jest zagrzebany, często za to przypływało do mózgu pragnienie poruszenia się, odetchnięcia swobodnie.

Ale dajmy głos samemu bohaterowi katastrofy:

„Szczególne wspomnienie — pisze Moorchead — przyszło mi do głowy. Czytałem kiedyś, iż w czasie wojny kobiety przysypywały swoich mężów i braci, w celu ukrycia ich przed poborem wojskowym. Aby się zaś nie podusili, wsadzały nieborakom w nos rurki, któremi dochodziło powietrze z zewnątrz. Przemyśliwałem więc nad tem, iż w podobnych warunkach nawet oddychanie przez rurkę musiałoby być mocno utrudnionem. Spróbowałem uczynić ruch ręką. Niepodobna! Nawet palcem ruszyć nie mogłem. „Kleszcze nie trzymałyby silniej“ — skarżył się mózg. Widocznie, że powietrze dochodziło mnie z zewnątrz, bo oddychałem, a raczej dyszałem ciężko: klatka piersiowa, ściśnięta ogromnie, nie poruszała się prawie, ucisk ziemi wygniatał z płuc powietrze.

Przypominam sobie chwilę, gdym odetchnął świadomie po raz ostatni. Ziemia zdawała mi się gorącą od oddechu. Poruszyłem dolną szczęką i — ziemia wypełniła mi usta po brzegi.

Wrażenia tej strasznej chwili nie zapomnę nigdy. Tak, to śmierć szła, powolna a nieubłagana, przestrach okropny opanował mi mózg. Duszę się, duszę!

Ale chwila okrutna przeszła i zobojętniałem znowu. Zdawało mi się, że ziębnę powoli. Gdybym nawet mógł, nie byłbym poruszył ręką, ani nogą. Nie myślałem już nawet, co kilka sekund zaledwie błyskało mi w mózgu jakieś przelotne światełko... Nagle uczułem, że sztaba gorącego żelaza wymierza mi cios w głowę...“

Robotnicy pracowali na górze. Groza położenia potraja siły. Kopano ostrożnie, lecz z pośpiechem. Po dziesięciu minutach pracy dokopano się głowy. Owa sztaba rozpalonego żelaza, wymierzająca cios Moorcheadowi, była to właśnie motyka, niosąca zbawienie. Było to zaledwie dotknięcie żelaza, wydało się jednak zasypanemu ciosem silnym. W chwili, gdy odkopano ziemię, głowa biedaka miała wygląd tak straszny, iż kierujący robotą rozkazał zawiesić na chwilę kopanie. Wskutek ucisku, wywieranego na pozostałe części ciała, krew napłynęła Moorcheadowi do głowy. Miał cerę człowieka rażonego apopleksyą, żyły na skroniach nabrzmiały, jak fioletowe postronki. Zdawało się, iż pękną lada chwila.

Zabrano się jednak do dalszej roboty i ziemię usunięto. Moorchead leżał bez ruchu, oczy miał zamknięte. Dopiero, gdy go podniesiono, przychodzić zaczął do siebie.

„Ujrzałem żółtego ptaszka, usłyszałem śpiew. Z początku oczy moje śledziły tylko poruszenia ptaszyny: widziałem, jak skakała z gałązki na gałązkę. Po kilku zaledwie sekundach obejmować zacząłem wzrokiem szerszy widnokrąg. Niebo wydało mi się zabarwionem inaczej, niż zazwyczaj. Czułem lęk przed ogromem horyzontu. Krajobraz był tak piękny, żem się... rozpłakał Obawa roztopiła się w łzach..“

Gdy robotnicy przywracali mu władzę w członkach, widział manipulacyę rozcierania, ale jej nie czuł. Prostracya była zupełną, nogi i ręce porażone były częściowym paraliżem. Stan ten trwał przez dni kilka, poczem wyzdrowienie nadeszło zupełne.

Wypadek jednak nie pozostał bez skutków. Odtąd miewał Moorchead zaburzenia nerwowe, bez znacznego wysiłku woli nie mógł wejść do kopalni lub piwnicy, a ilekroć stanął nad przepaścią lub pochyłością, doznawał tak silnego uczucia strachu, iż drżał nerwowo Przez lat kilka miewał sny, w których widział siebie pogrzebanym pod ziemią.

Głosy publiczności.

Z Zarwanicy piszą nam: Przed trzema tygodniami wydalił się ze swej rodzinnej wioski „Zarwanica“ w powiecie podhajeckim gospodarz Wasyl Kaczorowski, który od dłuższego czasu cierpiał na melancholię i dotychczas nie wrócił do domu. Poszukiwania za nim w okolicy pozostały również bez pożądanego skutku. Jest to mężczyzna 32 lat liczący, wzrostu średniego, włos czarny, podczas wydalenia się z domu krótko ostrzyżony, broda i wąs również czarne a ubrany był w kapelusz, opończę, kaftan i kamizelkę. W ręku miał rzezak od sieczkarni dawniejszej konstrukcyi. Ktoby miał jakąkolwiek wiadomość o nim, czy to o żywym, czy też może już o nieboszczyku raczy ją łaskawie podać pod adresem: Gr. kat. urząd parafialny w Zarwanicy, poczta Wiśniowczyk.

Zarazem uprasza się wszystkie dzienniki o łaskawe powtórzenie niniejszej wiadomości.

Ks. Antoni Kopystyński, wikary.

Ze Stawczan otrzymujemy następujące pismo z prożbą o umieszczenie:

Dnia 14 lipca b. r. odbyły się doroczne popisy uczniów szkoły ludowej w Stawczanach, powiatu gródeckiego. Na popis prócz miejscowych gospodarzy przybyła pani Marya Wierzchlejska, która jak każdego roku tak i teraz obdarzyła hojnie pilną dziatwę szkolną. W imieniu tej dziatwy składam za troskliwą i nieustanną pamięć i opiekę nad młodzieżą szkolną państwu Kazimierzostwu Wierzchleyskim, nie mniej też Wielebnemu duchowieństwu obu obrządków ks. Maksymilianowi Strumińskiemu i ks. Wacławowi Schwartzowi za popieranie rowoju szkoły i oświaty najserdeczniejsze: „Bóg zapłać“! *Władysław Slesiński,* kier. szkoły.

Kochawina Dalsze ofiary na kościół N. M. P. cudami słynącej, od 1 stycznia do 14 marca 1893.

Borzemska z Kniesioła 1 złr., Matkowska ze Złoczowa 1, Karczyńska z Błozwi o cierpliwość w zawodzie 1 i na m. św.; Roppe z Sambora o opiekę M. B. 1, M. R. ze Stanisławowa o opiekę w nieszczęściu 1, B. S. z Brzeska 1, Treterowa z Laszek królewskich dziękując N. P. za uproszone łaski 18 i na m. św., Mglej ze Lwowa o uzdrowienie matki 1 i na m. św., Scheibenreiterowa z Tarnopola o zdrowie dla rodziny 2, Bohosiewiczowa z Baniłowa rus. dziękując M. B. za uzdrowienie córki 2·50 i na m. św., Jarmutowski jako votum za otrzymaną łaskę 5, Mocserowa ze Lwowa o ulgę w ciężkiej chorobie 3, M. K. z Litiatyna o zdrowie dla matki 2, T. J. ze Złoczowa 2, W. M. P. z Rzeszowa o zdrowie 1 i na m. św., Weberowa ze Lwowa o pociechę w smutku, oorus, 12 ręczników, 6 korporałów i na m. św., A. D. ze Strażowa dziękując za wrócone zdrowie 2, Pieńczykowska polecając się opiece M. B. 2, E. P. K. ze Stryja 7 i na m. św., Zielonkowie z Rosochowaćca o błogosławieństwo 7, Michniewski z Bieniaczowic dziękując za dobrodziejstwa, prosząc o dalszą opiekę 8 i na m. św., Teodorowicz ze Lwowa 10, Młynarska ze Stanisławowa 2, W. N. z Podlisek dziękując za otrzymane zdrowie 2, Filomena ze Lwowa drugą ratę votum na intencyę rodziców 3, Wolańska z Krepiniec o szczęśliwą podróż i powrót 4 i na m. św., H. P. z Pruchnika o pociechę 1, W. z Wierzbicy o zdrowie 2, J. W. dawniej zrobione votum 10, H. F. z Uniatycz za wysłuchanie prośby 3, Walter z Krościenka jako votum 2, Malczewska z Tarnopola o zdrowie dla córki 2, Urbańska ze Stanisławowa o opiekę 1, S. K. ze Lwowa dziękując za łaskę 2, Syroczyńska z Krakowa o zdrowie Stefcia 3 i na m. św., P. z W. 3 i na m. św., M. S. z G. za łaski odebrane 5, Zachariasiewiczowa o zdrowie 2, Żurowski z Podhajczyk o zdrowie żony 3 i na m. św., Marya S. z Brodów o opiekę, poduszkę i na m. św., H. S. z Ujścia Zielonego o zdrowie 1, A. B. z Boratyna o uzdrowienie dziecięcia 2, Bazali z Czerniowiec dziękując za łaski 1, Weidl z Wielopolu 1 i na m. św. Burgorowa ze Lwowa o uzdrowienie 2, N. N. ze Lwowa o opiekę M. B. 1, Remiszewska ze Siedlisk o pociechę 2, J. J. z Litiatyna o pomyślny obrót w interesach 3 i na m. św., Krynicka poduszkę, Zofia K. ze Lwowa o odwrócenie nieszczęścia 1 i na m. św., Werner z Młodowa o spełnienie życzeń 1, W. R. z Janczyna o uzdrowienie ciężko chorego 1·50, Janusz z Sanoka o pocieszenie 2 i na m. św., F. S. M. z Kranzberg za otrzymane łaski od M. B. 5 złr. i na mszę świętą.

Ks. Jan Trzopiński
administrator parafii, p. Żydaczów.

Część ekonomiczna.

§ **Konwersya listów galic. Towarzystwa kredytowego ziemskiego** Dyrekcya galicyjskiego Banku kredytowego, skutkiem licznych zapytań podaje do wiadomości władz nadopiekuńczych, kuratorów i zarządów mas, że wszystkie do konwersyi przeznaczone 4½% *listy zastawne galicyjskiego Towarzystwa kredytowego ziemskiego* winkulowane i niewinkulowane powinny być zgłoszone do konwersyi najdalej do 20 b. m. i r. włącznie.

§ **Giełda zbożowa.** Wiedeń 17 lipca. Pszenica majowa 8·12, na wiosnę 8·46; żyto na jesień 7·10, owies na jesień 6·95.

Telegramy „Przeglądu“.

Petersburg 18 lipca. (pryw.) *Birżewyja Wiedomosti* donoszą, że do ministeryum spraw zagranicznych nadeszła przychylna odpowiedź rządu niemieckiego w sprawie projektu Rosyi, zwołania do Berlina mięszanej komisyi w celu ostatecznego wykończenia warunków rosyjsko-niemieckiego traktatu handlowego.

Podana przez dzienniki wiadomość, jakoby Rosya zawarła nowy traktat handlowy z Anglią, jest nieprawdziwą. Traktat z r. 1859 jest dotąd obowiązującym.

Gablonz (w Czechach) 18 lipca. Bombę, która przedwczoraj w nocy eksplodowała przed lokalem fabryki Mahla i zrządziła wielkie szkody, podłożyli robotnicy tej fabryki, których w sobotę wydalono ze służby.

Belgrad 18 lipca. Wczoraj przed południem ukończył b. minister Ribarac swą obronę, poczem wszyscy oskarżeni członkowie gabinetu Awakumowicza opuścili salę obrad skupczyny.

Następnie dr. Wesnicz zabrał głos imieniem tych 25 posłów, którzy wnieśli akt oskarżenia i uzasadniał go w długiej mowie. Po Wesniczu przemawiał Dedinacz i również uzasadniał oskarżenie, wykazując, że było ono koniecznie potrzebne, aby oczyścić niezdrową atmosferę stosunków serbskich; a nie zmienia to w niczem rzeczy, że nie rząd, ale grono posłów występuje w roli oskarżyciela.

Do głosu zapisało się jeszcze wielu posłów, między nimi Garaszanin.

Dalszy ciąg debaty nad tą sprawą rozpoczął się dziś o godzinie 8 rano.

Paryż 18 lipca. Jeneralny gubernator Tonkinu nadesłał tu raport, że oddział wojsk syamskich w pobliżu miejscowości Nake napadł na oddział milicyi Anamitów sprzymierzonych z Francuzami. Oddział syamski poniósł wielkie straty i musiał się cofnąć. Okoliczne plemiona laotyjskie trzymają stronę Francyi.

Londyn 18 lipca. Do *Timesa* donoszą z Rio Janeiro, że parowiec powstańców „Jupiter“, którego komendantem jest Vandenkolk, został schwytany przez brazylijski okręt wojenny.

Całą załogę „Jupitera“ wzięto do niewoli.

Malta 18 lipca. Wczoraj rozpoczął się tu sąd wojenny na kapitana Bourkego i tych oficerów zatopionego pancernika „Victoria“, którzy pozostali przy życiu.

Kilonia 18 lipca. Cesarz niemiecki z żoną odpłynął wczoraj na pokładzie „Hohenzollerna“ do Gothenburga.

Berlin 18 lipca. Dziennik *Post* donosi, że sekretarz stanu Maltzahn zamierza porzucić służbę państwową. *Börsen-Courrier* powtarza to doniesienie, dodając, że następcą Maltzahna zostać ma br. Huene.

Londyn 18 lipca. Do *Timesa* donoszą z Bangkoku, że wiele rodzin angielskich opuszcza Siam, zabierając ze sobą wszystko, co mają.

Paryż 18 lipca. Były szef urzędu kolonialnego Etienne rzekł w rozmowie z pewnym dziennikarzem, że uważa zdobycie królestwa siamskiego za jedynie racyonalne rozwiązanie kwestyi spornej. Na Anglię nie powinna Francya zbytnio się oglądać, bo niepodobieństwem jest ustępować jej zawsze, tak, jak to miało miejsce w kwestyi egipskiej.

Przyjechali do Lwowa

dnia 18 lipca 1893.

HOTEL FRANCUSKI. A. Krokowski z Jagielnicy. Ks. J. Kobryn z Oleszyc. R. Schmidt z Cieszyna. J. Pajnar z Cieszyna. E. Frieb z Wiednia. K. Strzygowski z Białej. S. Kalmann z Wiednia. J. Bernlochner z Wiednia. O. Ambroziewicz z Pomorzan. M. Nahodska z Wołczuchy. A. Thanhoffer z Wiednia. W. Zajączkowski z Brzeska.

HOTEL IMPERIAL. F. Niezabitowski z Zarudeczka. M. Liess z Fiumy. O. Rohrer z Wiednia. Dr. J. Moskowicz z Groswardein. J. Pruszyński z Królestwa Polskiego. A. Attanasiad z Jass. K. Makomaska z Sielca. M. Wilamowski z Królestwa. Br. A. Rodich z Podszumlaniec. F. Siegel z Berna. W. Wimmer z Niepołomic.

HOTEL ZORZA. A. Obertyńska z Nowego Sioła. A. Zajączkowski ze Starego Miękisza. Hr. M. Borkowski z Mielnicy. Z. Wiszniewski z Putiatycz. S. Wachowicz z Dawidkowic. J. Weiss z Szygethu A. Frenzel z Göreits. Dr. Kar. Bucscuescu z Botuszan.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 18 lipca godz. 2. min. —.

Akcye kred.	334·75	Gal. oblig. propinacyjne	98·10
Alpiny	53.80	Wied. losy	175·50
Kredyty węg.	410·75	Akcye tyton.	186·25
Anglobanki	150·25	4% Poż. kraj. z r. 1893	97·—
Uniony	248·25	Elbethale	236·75
Ludwiki	219·—	Länderbanki	246·60
Nordbany	287·50	Renta zł. węg.	115·45
Lombardy	104·—	Bankvereiny	121.40
Losy tureckie	48·80	Węg. renta p.	94·50
Staatsbahny	307·—	Ruble	1.31·—
Czerniowieckie	256·—		

Usposobienie spokojniejsze.

Z izby handlowej. Lwów 18 lipca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego, bez dywidendy.

	płacą	żądają
Kolej gal. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	218 —	221 —
„ Lwow.-czer.-jas. 200 zł. w. a.	256 —	259 —
Banku hipotecz. gal. 200 zł. w. a.	360 —	— —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	215 —

2. Listy zastawne za 100 zł.

	płacą	żądają
Banku hip. gal. 5% los. w lat. 40	101 —	101 70
Banku hip. gal. 5% z 10% pr.	110 —	110 70
Banku hip. 4½% los. w 50 lat.	100 10	100 80
Banku krajowego 4½% w. a.	100 50	101 20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98 —	98 70
„ „ „ 4% los. w 41½ lat.	98 50	99 20
„ „ „ 4½% „ 52 lat.	100 —	100 70
„ „ „ 4% „ 56 lat.	98 50	99 20

3 Obligi za 100 zł.

	płacą	żądają
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97 90	98 60
Bukow. fund. propinacyjnego 5%	102 25	— —
Kom. Banku kraj. 5% II emis.	102 25	— —
Pożyczka krajowa 6%	105 —	— —
„ „ 4½%	100 30	101 —
„ „ 4%	96 70	— —
„ „ 4% koronna	96 90	97 60

4. Losy.

	płacą	żądają
Losy miasta Krakowa	23 50	25 —
Losy miasta Stanisławowa	39 —	42 —

5. Monety.

	płacą	żądają
Dukat holenderski	5·85	5·95
Napoleondor	9·85	9·95
Półimperyał rosyjski	10.—	—·—
Rubel rosyjski srebrny	1·30—	1·32
„ „ papierowy	1·30—	1.32—
100 marek niemieckich	60·80	61·70—

73)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

Pierwszy to raz mąż mój przemawiał do mnie w sposób tak stanowczy i zdradzający dumę rodową, oraz pewne poszanowanie dla przepisów towarzyskich. Zdziwiona, zakłopotana, nie wiedziałam sama co odpowiedzieć.

— Innego zdania byłeś przed siedmiu laty — zaczęłam wahająco. — Zamknąłeś się w twojej samotni jak pustelnik, i dopiero ciotka Sandyshaft...

— Przemocą wciągnęła mnie do towarzystwa — dokończył niecierpliwie — wiem o tem. Ale wtedy nie byłem żonatym. Powtarzam ci, Barbaro, że nie chcę, aby świat myślał, że zrobiłem mezalians i wstydzę się pokazać żonę sąsiadom. Jeżeli chcesz, gotów jestem każdej chwili zawrócić z drogi. Bóg widzi, że przybyłem tu jedynie dla ciebie i że wolałbym stokroć cofnąć się, niż iść naprzód. Jeżeli jednak trwasz w twojem postanowieniu, to musimy przygotować się na to, aby zająć przynależne nam stanowisko w okolicy. No! decyduj się, carina... cóż wybierasz: Broomhill, czy Włochy.

— Nie wiem sama... — odparłam nawpół gniewna, nawpół rozżalona. — Muszę się zastanowić. Odpowiem ci jutro wieczór, jak wrócisz.

— To będzie zapóźno, moje dziecko, gdyż jeżeli zawrócimy z drogi, to nie mam potrzeby jechać do Broomhill.

Podeszłam do okna i twarz rozognioną przytuliłam do chłodnej szyby.

— I cóż — po długiem milczeniu zapytał mój mąż. — Czyś się zdecydowała, Barbarino?

— Tak — Hugonie. Pojedziemy do Broomhill.

ROZDZIAŁ VII.

Dzień był pochmurny i mglisty, gdy nazajutrz po wczesnem i naprędce spożytem śniadaniu, wyprawiwszy Hugona na kolej, sama kazałam się zawieźć dorożką na stare przedmieście, tak dobrze mi pamiętne z dziecinnych moich czasów. Zaledwie jednak mogłam rozpoznać się w dawnej miejscowości, tyle w niej zmian zaszło od lat kilku. Nowe, okazałe domy wyrosły na miejscu dawnych; taras, wysadzany drzewami, spuszczał się aż po sam brzeg kanału, a kościół wznosił się wpośrodku placu, na którym ulicznicy zwykli niegdyś wyprawiać harce. Widząc to, ogarnęła mnie trwoga, czy stary nasz dom nie został także zburzony; ale w tejże niemal chwili ujrzałam go wyzierającego posępnie z za szarych i zapylonych drzew przydrożnych.

Zatrzymałam powóz i pieszo udałam się na miejsce z tem dziwnem uczuciem, że jestem znowu dzieckiem powracającem do domu po krótkiej nieobecności. Spojrzałam w okna; wydały mi się jeszcze czarniejsze i smutniejsze, niż dawniej. Pociągnęłam za dzwonek, którego ostry dźwięk przeciągłem echem odezwał się po pustem wnętrzu domu. Nakoniec, po długiem czekaniu, usłyszałam powolny, ociężały krok zbliżający się do bramy; klucz zgrzytnął twardo w zardzewiałym zamku i stara kobieta u surowej i niemiłej twarzy stanęła przedemną.

Zapytałam o mistress Beever.

— Mistress Beever? — powtórzyła zgryźliwie, trzymając drzwi nawpół uchylone. — Nie znam osoby tego nazwiska.

— Jakto? — spytałam zakłopotana. — Przecież ona miała powierzoną pieczę tego domu?

— Ja mam powierzoną pieczę tego domu — odparła kobieta, gotując się zamknąć mi drzwi przed nosem.

— Stójcie! — zawołałam. — Pan Churchil...

— Pan Churchill wypuścił dom, a sam przeniósł się zagranicę. Mam gdzieś jego adres, jeżeli pan chce.

Potrząsnęłam przecząco głową, a że czułam się bardzo osłabioną, oparłam się o futrynę drzwi.

— Nie — dziękuję — rzekłam. — Chcę widzieć starą sługę, która tu była dawniej, zanim dom został wydzierżawiony. Czy nie możecie mi wskazać jej adresu?

Kobieta odparła niecierpliwie, że nic nie wie o dawnej słudze.

Wyjęłam woreczek z kieszeni i grzecznie zapytałam ją, czy zechce mi pozwolić obejrzeć mieszkanie?

Spojrzała podejrzliwie na mnie, potem na srebrną monetę, którą trzymałam w ręku.

— Alež mówiłam pani, że dom został wynajęty — rzekła.

— To nic, ale lokatorowie wyjechali. Możesz mnie więc pani oprowadzić po pokojach. Mieszkałam tu kiedyś, przed laty, i radabym obejrzeć dawne kąty.

Po twarzy jej, ciągle nasrożonej, widziałam, że miała ochotę mi odmówić, ale chciwość przemogła w końcu.

— No, niech pani idzie — rzekła po namyśle.

Przestąpiłam próg, a ona zamknęła drzwi na klucz za sobą, jakby dozorca więzienny i krok w krok szła za mną wzdłuż całego szeregu dolnych pokojów, nie spuszczając mnie z oczu na chwilę. Wszystkie sale były puste, albo zawierały tylko zużyte sprzęty. Zapytałam co się stało z meblami pana Churchilla, ale nie umiała mi na to odpowiedzieć. U stóp schodów, prowadzących na poddasze, moja przewodniczka zatrzymała się i puściła mnie samą na górę.

Moje poddasze, na którem bawiłyśmy się swobodnie będąc dziećmi! gdzie echo wesołości naszej rozbrzmiewało wśród ciszy! gdzie później tyle samotnych godzin spędziłam sam na sam z mojemi książkami, płacząc gorzko i wyrzekając na los, który mnie uczynił o tyle młodszą od sióstr moich! Po tylu latach z jakiemże rozrzewnieniem odnajdywałam na poczerniałych ścianach ślady dziecinnego mego pisma i nieudatne szkice węglem, mowy pół zatarte, a pełne dla mnie dawnego znaczenia! To miało przedstawiać jakiś krajobraz, to znów widzenie anachorety na puszczy, to znów rycerską jakąś przygodę któregoś z ulubionych moich bohaterów; a wszystko razem świadczyło o mojem wrodzonem zamiłowaniu do sztuki. Smutnie wpatrywałam się w te rysunki, jak więzień dawno wypuszczony na wolność przypatruje się napisom, które zostawił na ścianach swej celi, i westchnęłam na wspomnienie szczerej pociechy mojej młodości; potem zwróciłam się do zakratowanego okna, przez które ujrzałam wązki pas zarosłego chwastami ogrodu i czarny kanał, po którym, jak dawniej, przesuwały się powoli ładowne promy, i tam, za kopcącemi fabrycznemi kominami i dachami domów, falujące na widnokręgu, pamiętne mi tak dobrze wzgórza, które wiosenną zielenią swoją zdawały się zawsze urągać moim zasmuconym oczom. Lata upłynęły od tego czasu; stopą dotykałam lodowców alpejskich, widziałam Tyber, toczący żółte fale pod mojemi oknami, patrzyłam na zachody słoneczne, złocące szczyty Jungfrau, a zdaje mi się, że nigdy nie spoglądałam na tę wspaniałą panoramę natury z tak głębokiem wzruszeniem, jak to, które mnie ogarnęło na widok jedynego krajobrazu, który rozweselał ongi smutne moje dzieciństwo.

Zatopiona we wspomnieniach, zapomniałam, że czas uchodzi i oprzytomniłam dopiero widok odźwiernej, która wygramoliła się na schody, aby zobaczyć, co ja tam tak długo mogę robić na strychu. Zeszłam zatem na dół rada, że przerwać mogę wątek smutnych myśli i zerwawszy na pamiątkę parę zapylonych listków bluszczu rosnącego pod drzwiami, zapytałam raz jeszcze stróżki:

— Więc nie możecie mi wskazać żadnych śladów kobiety, która tu dawniej mieszkała?

Potrząsnęła głową i otwierając drzwi, odparła:

— Może ten piekarz z przeciwka potrafi panią objaśnić. Ja nic nie wiem.

Klucz zgrzytnął we drzwiach, a ja znalazłam się znowu na ulicy. Ostatni raz w życiu przekroczyłam próg rodzinnego domu.

Piekarz odesłał mnie do kupca, utrzymującego korzenny sklepik w sąsiedztwie; kupiec zaś wskazał mi na ulicy Pinks Row trzeci domek na lewo, w ogródku. Pani Beever mieszkała tam kiedyś, może i mieszka dotąd. W każdym razie może się tam coś dowiem od jego właściciela.

Zatrzymawszy powóz na widoku, wziąłam za przewodniczkę córkę kupca i poszłam szukać Pinks Row.

W szeregu kilkunastu ubogich i zaniedbanych domków, trzeci z rzędu, wskazany mi przez usłużnego kupca, wydał mi się z pozoru czystszym i o wiele schludniejszym od innych

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Wacław Masłowski — Papier braci Fiałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.